

Reporterzy na start!

W piątek, 7 bm. nastąpi inauguracja ogłoszonego przez nasz tygodnik i Wydział Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi konkursu zamkniętego na reportaże. 22 najlepszych reporterów z kraju i 29 autorów łódzkich przystępuje do dzieła opisanego Łodzi.



Wbijając uczestników naszego Konkursu życzymy im owocnej pracy i sukcesów w szlachetnym współzawodnictwie. Życzymy im i sobie, aby w efekcie ich wysiłków powstały utwory, a w sumie dzieło godne czasu, jaki przeżywa nasze miasto.

Na zwycięzców Konkursu opisanego Łodzi czekają następujące nagrody:

- I. — 10.000 zł
- II. — 8.000 zł
- III. — 6.000 zł
- IV. — 5.000 zł

oraz 3 wyróżnienia po 1.000 zł każde.

WACŁAW
PIOTROWSKI

Pukam do drzwi

Pukam do drzwi wejściowych. Za drzwiami trochę niepewnie uśmiechnięta młoda dziewczyna: „Dzień dobry — czy mogłabym chwilę porozmawiać z panem X?” „Jestem studentką Uniwersytetu Łódzkiego. Prasa łódzka chce dowiedzieć się o życiu i potrzebach mieszkańców Łodzi przed wyborami. W tym celu zwróciła się o pomoc do pracowników naukowych i studentów...”

W ten, czy podobny sposób rozpoczynało się blisko tysiąc rozmów z mieszkańcami Łodzi, podczas przeprowadzonego w drugiej połowie marca sondażu opinii publicznej. Blisko tysiąc razy kierowane były te same pytania do reprezentantów obojga płci, różnych środowisk społeczno-zawodowych i różnych grup wiekowych.

Pytanie dla wszystkich takie same, ale odpowiedzi różne — bo przecież gdyby nie było zróżnicowanych poglądów, zróżnicowanych zainteresowań, zróżnicowanych opinii nie warto byłoby przeprowadzać badań naukowych w tym zakresie.

W czasie sondażowych rozmów, odpowiedzi notowane były na specjalnych kwestionariuszach — osobnych dla każdego. Ale musimy w tym miejscu może i trochę rozszerzyć niejednego z naszych życiowych i miłych rozmówców. Z chwilą zamknięcia drzwi za studentką czy studentem przeprowadzającym rozmowy rozmówca jako pan X czy Y przestał dla nas istnieć. Stał się anonimowym współtwórcą kilkudziesięciu tysięcy odpowiedzi (jeśli pomnożymy ilość rozmówców przez ilość pytań), które, zgodnie z zasadami statystycznej reprezentatywności składają się na obraz opinii publicznej mieszkańców całego naszego miasta.

Należy podkreślić, że losowanie statystycznej reprezentacji mieszkańców Łodzi przeprowadzone było w taki sposób, aby w próbie sondażowej uzyskać nie tylko właściwe dla całości miejskiej populacji proporcje płci, wieku i środowisk społeczno-zawodowych, lecz także aby zostały uzyskane opinie rozsiane na całym obszarze miasta.

(Dalszy ciąg na str. 2)

Uczestnicy konkursu

spoza Łodzi

1. Wojciech ADAMIECKI
2. Jerzy AMBROZIEWICZ
3. Andrzej BERKOWICZ
4. Stefan BRATKOWSKI
5. Andrzej BRYCHT
6. Bohdan DROZDOWSKI
7. Wojciech GIELZYŃSKI
8. Jerzy JANICKI
9. Jerzy KASPRZYCKI
10. Krzysztof KĄKOLEWSKI
11. Stefan KOZICKI
12. Zbigniew KWIATKOWSKI
13. Józef LENART
14. Jerzy LOVELL
15. Andrzej MULARCZYK
16. Janusz ROSZKO
17. Aleksander ROWIŃSKI
18. Barbara SEIDLER
19. Jerzy SZPERKOWICZ
20. Jerzy URBAN
21. Andrzej Krzysztof WRÓBLEWSKI
22. Jerzy ZIELEŃSKI

Uczestnicy konkursu

z Łodzi

23. Karol BADZIAK
24. Halina BATOROWICZ
25. Feliks BĄBOL
26. Wacław BILIŃSKI
27. Julian BRYSZ
28. Halina DĄBROWSKA
29. Konrad FREDLICH
30. Michał GALEWSKI
31. Bogusław HOLUB
32. Ada JASKÓLSKA
33. Sergiusz JASKIEWICZ
34. Jan KOŁODZIEJ
35. Włodzisław KRZEMIŃSKI
36. Roman ŁOBODA
37. Wiesław MACHEJKO
38. Wacław MROZOWSKI
39. Mirosław OCHOCKI
40. Marian PIECHAŁ
41. Anna POGONOWSKA
42. Krzysztof POGORZELEC
43. Jan SAWICKI
44. Jerzy STEFKO
45. Ludwik ŚWIEŻAWSKI
46. Jerzy SZELEWICKI
47. Tadeusz SZEWEŁA
48. Edward SZUSTER
49. Zbigniew WOJCIECHOWSKI
50. Teresa ZWIERZCHOWSKA
51. Kazimierz ZYGMUND



Tow. Michalina Tatarkówna-Majkowska przy maszynach włókienniczych wyprodukowanych w Łodzi

WIESŁAW MACHEJKO

TO warto zobaczyć

To jest wystawa, która wzrusza. To jest wystawa, która świadczy o tym jak wiele przez 16 lat zrobiono w Łodzi dla miasta i dla kraju. To jest wystawa,

która ze stolicy włókna czy ni również stolicę polskiego przemysłu elektrotechnicznego, poważne centrum chemiczne i metalurgiczne. Powiadam czyni, bo dotąd

większość łódzian i nie tylko łódzian swego miasta od tej strony nie znała. A produkujemy u nas i maszyny włókiennicze i aparaty projekcyjne różnych typów

dla kin miejskich i wiejskich w kraju i za granicą. A chemia? Reprezentowana jest na wystawie przez wiele przedsiębiorstw a między innymi przez spółdzielnię pracy. Np. „Xenon” chwali się opracowaniem metody produkcji Polvitezu — podstawowego składnika farb drukarskich do tkanin. Zastąpi on w kraju importowany dotąd z Holandii preparat Solvitezu. Polvitezu będzie też eksportowany do Szwajcarii i Izraela.

To oczywiście tylko jeden przykład z tysiąca, o których informuje wystawa. A przemysł spożywczy? A budownictwo? Kiedy zajrzyć do pawilonów, w których planse i makieły przedstawiają to co już zbudowano i to co zbudujemy w latach najbliższych doznacie na pewno uczucia zadowolenia i dumy. Od początku założenia tego miasta nie zrobiono dla niego tyle ile w ciągu ostatnich lat 16. Dorobek tego 16-oletnia przedstawiony przez 260 przedsiębiorstw na powierzchni 8 tys. metrów kwadratowych sprawia imponujące wrażenie. A przecież nie wszystkie łódzkie placówki postarały się o to by ich ekspozycje wyglądały proporcjonalnie do spełnianej roli. Oprócz wymienionych wyżej przemysłów koncentrujących się w naszym mieście jest Łódź także filmową stolicą Polski. Ale pawilon WFF jest nadzwyczaj skromny. Tak jak by nie Łódź wyprodukowała „Krzyżaków” i wiele innych słynnych filmów... Jak by nie w Łodzi mieszkali nie tylko reżyserzy ale i setki pracowników laboratoriów, warsztatów, pra-



Dokończenie
na str.
5

PUKAM do DRZWI

Dalszy ciąg ze str. 1

Przez dwa dni specjalnie przygotowani studenci z wykazami adresów i zapasami ankiet krążyli po naszym mieście, szukając przydzielonych sobie rozmówców. I trzeba przyznać, że uzyskano maksymalną ilość zaplanowanych rozmów, za co oczywiście organizatorzy badań wdzięczni są przede wszystkim cierpliwym i chętnym rozmówcom. Przez dwie noce zespół naukowy i techniczny dodawał i odejmował, dzielił i mnożył, zestawiał i porównywał zebrany materiał kwestionariuszowy opracowując wstępne wyniki sondażu. Bo przecież tak jak i na całym świecie opinie i poglądy ludzkie zmieniają się, przekształcają, bogacą się lub szczupieją — i bezpośrednia wartość uzyskanych na drodze sondaży informacji jest o tyle duża o ile przychodzi szybko, nie ulega dezaktualizacji. Seria obecnych badań nie została jeszcze zakończona, bowiem w toku jednorazowych rozmów nie sposób wyczerpać w dostatecznej mierze ważnych i



interesujących zagadnień współczesnych. Poza tym wracanie w rozmowach nawet do tych samych tematów na przestrzeni czasu ukazuje niezmiernie interesujący naukowo i społecznie ważny problem przekształceń naszych aktualnych zainteresowań, ocen i poglądów, które przecież w dużym stopniu zależne są od współczesnego nam biegu spraw osobistych i publicznych.

Ale przejdźmy do samych wyników pierwszego sonda-

żu — ograniczając się, oczywiście, z konieczności do niektórych tylko zagadnień. Przed tym jeszcze należy wspomnieć o tym, że wśród aktualnie zadawanych pytań celowo powtórzono szereg zagadnień stawianych przed łodzianami przy okazji podobnych sondaży opinii publicznej przed trzema laty. Uzyskano przez to cenny materiał pomocniczy, świadczący o przemianach opinii publicznej naszego miasta zachodzących w związku ze zmianami w naszych ogólnych warunkach bytowych.

Trudno nie wspomnieć tutaj o sygnalizowanych już w prasie i radio wynikach podsumowania pytań dotyczących indywidualnych bolączek i niezaspokojonych potrzeb dotychczas potrzeb bytowych wyrażanych przez naszych rozmówców. Ogólnie biorąc, każdy z procentowych wskaźników tych niezaspokojonych potrzeb i bolączek uległ zmniejszeniu. Największe zmiany zaszły wg opinii łodzian w zakresie zaopatrzenia naszego handlu, gdzie wskaźnik niezaspokojonych potrzeb spadł z 49,1 proc. do 19,9 proc.; komunikacja z miejscem pracy — z 19,8 na 10,4 proc.; niedostateczna opieka lekarska z 21,5 proc. na 12,8 proc.; potrzeba remontu mieszkań 48,2 proc. spadła na 34,9 proc. Dalej różnica kilku stopni procentowych obniżył się wskaźnik braku wodociągów i kanalizacji, braku gazu i elektryczności i potrzeby wygodnego mieszkania.

Obowiązek socjologa ogranicza się do zreferowania jedynie obiektywnych wyników przeprowadzonych badań — trudno jednak pisać o uczuciu pewnej satysfakcji — bez zbytecznego chyba w tym miejscu oceniającego komentarza.

W toku sondażowych rozmów łodzianie wystawiali oceny za ubiegłą kadencję ustępującemu Sejmowi oraz Miejskiej i Dzielnicowej Radom Narodowym. Interesujące jest zestawienie tych trzech ocen.

	Sejm	Miejska RN	Dz. RN
b. dobre	23,9%	16,0%	13,0%
dobre	51,1%	45,4%	40,0%
dostatecznie	10,2%	11,9%	13,6%
niedostatecznie	2,6%	2,0%	7,1%
brak oceny	12,2%	24,7%	26,3%

Należy dodać, że kobiety są ogólnie o wiele łagodniejsze w ocenach niż mężczyźni. Oceny powyższe, szczególnie dotyczące Rad Narodowych, zyskują na wyrazistości w zestawieniu z przytoczonymi powyżej danymi o wskaźnikach potrzeb oraz wypowiedziami dotyczącymi zaobserwowanych w swojej dzielnicy zmian na lepsze czy na gorsze. Łodzianie w swoich opiniach wskazywali na te dziedziny gospodarki i życia miejskiego, które przed trzema laty wg ich zdania



zasługiwały na staranie ze strony Rad Narodowych. A więc, przede wszystkim wzrost budownictwa, poprawa nawierzchni i oświetlenia ulic, porządku, zieleni, zaopatrzenia i sieci handlu, usługi socjalne, remonty itd. itd. Są to oczywiście wymienione zmiany „na lepsze” gdyż zmiany „na gorsze” poza kilkunastoma (chyba słusznymi) głosami o przedłużających się gdzie

KAROL BADZIAK

Obywatele kandydaci!

Za 10 dni otrzymanie z woli ludu immunitety upoważniające Was do decydowania o najważniejszych sprawach naszego miasta, naszego kraju. Sprawy tych jest ilość olbrzymia, wszystkie są palące, a niekiedy żrące jak kwas solny. Dowiadujecie się o nich na spotkaniach z wyborcami, którzy zwracają się do Was jak do Pogotowia Ratunkowego prosząc o wiadomości na przejazdach kolejowych, o szybszą modernizację parku maszynowego i o kiosk z papierosami na ulicy X, domagają się nowych boisk, stadionów, pływalni i żeby się nie psuły kurki w umywalkach, o więcej zieleni, lepszej organizacji świątecznego wypoczynku pod łódzkim niebem i mniej kłótni między sąsiadami za ścianą. Postulaty wyborców są dla Was nakazami, które sumiennie w miarę sił i środków będziecie realizować. Każdy wyborca uważa, że postulat, który pod Waszym adresem wysuwa jest najważniejszy i najistotniejszy, więc ja, korzystając z tego konstytucyjnego i zwyczajowego prawa pragnę dziś jako wyborca i jako reporter zwrócić się z gorącą prośbą o załatwienie najważniejszych spraw m. Łodzi: SZKOŁY.

Zapraszam na reporterską wędrowkę, na konfrontację przeszłości z teraźniejszością i przyszłością, na konfrontację faktów z marzeniami, postulatów z możliwościami i rzeczywistością z planami.

Skazany czasem swego urodzenia na dni wojny, w których wypadł mi akurat okres nauki w szkole, nie mam porównań i doświadczeń w tym względzie. W 1945 roku oczarowani wolnością uczyliśmy się zachłannie w nieogrzanych, zatłoczonych salach lekcyjnych bez jakichkolwiek pomocy naukowych, bez podręczników, zeszytów i ołówków w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu. Nauczycielem moim przez pół roku był fryzjer. Jednym słowem, nie było w szkole normalnych uczniów, pomocy naukowych i systemu oświatowego, czyli nie było w ogóle normalnej szkoły. Jednak z popiołów tych zrodził się feniks, który w tej chwili liczy sobie na terenie Łodzi 150 tysięcy uczniów, około 6 tysięcy nauczycieli i 136 szkół.

Z pozycji roku 1945 są to liczby imponujące, osiągnięcia bezsporne, ale nie z pozycji wymagań roku 1961. Czyżby więc wymagania nasze wyprzedzały produkcję środków na ich zaspokojenie? I to możliwe. Choć raczej więcej prawdy mieści się w tym że wzrost warunków nie nadążył za wzrostem potrzeb. Zresztą prawda zwykle sadzi się gdzieś pośrodku

Czort jednak z tym, niech inni dywagują. Bezsportna jest tylko statystyka, a wszystko inne budzi piekielne wątpliwości.

W Łodzi liczba dzieci na jedną izbę lekcyjną wynosi w szkołach podstawowych 62,3, zaś w dzielnicy Górnej

wady mowy, 15 proc. zaburzenia psychiczno-neurologiczne, 39 proc. choroba kumatyczna. Szkoły pracują na dwie i trzy zmiany, brak jest kąpielisk, sal gimnastycznych i rekreacyjnych, a także oświetlenie w salach lekcyjnych jest bardzo kiepskie.

wzniesiono szkielet gmazyska i dokonano za granicą odpowiednich, odpowiednio drogich zamówień na urządzenia mechaniczne, okazało się, że znów profil nie odpowiada potrzebom, gdyż piekarzy i tak jest w naszym mieście za dużo. Na Chojnach zaś projektanci zafascynowani nowoczesnością sprawdzili do okien gumowe uszczelki za 200 tysięcy złotych i po paru tygodniach wszystko to diabli wzięli, gdy tymczasem zwykłe zakitowanie szyb wyniosłoby jedynie 2 tys. złotych i byłoby w dodatku trwałe.

Obywatele Kandydaci!

Oprócz szkół, w których młodzież zdobywa wiedzę, a nierzadko tę wiedzę raczej jej się tam nachalnie wypycha, istnieje w Łodzi dość liczna grupa młodzieży, którą z kolei dla tej wiedzy się zdobywa. Jest to młodzież z powojennej, z małych wiosek i miasteczek, mieszkająca przeważnie w internatach. Chodzi mi szczególnie o internat mieszczący się w byłych carskich koszarach na Polesiu. Trzy lata temu, dokładnie 21 października 1958 roku „Dziennik Łódzki” dał następującą charakterystykę tej instytucji: „W internacie przy ul. Obronców Stalina żyje w bardzo złych warunkach 430 uczniów. Chłopcy nie mają ciepłej wody do mycia, śpią na przykrych, przykrytych się dwoma niepoobkalanymi kocami, pod głową zaś mają maleńkie poduszeczki wypłane słomą”.

Odwiedziłem niedawno ów internat, by stwierdzić, że od czasu ukazania się tej notatki nie są tam faktycznie nie zmienione. Jedynie liczba mieszkańców znacznie się zmniejszyła, ale nadal w ogromnych jał: dworek po- cieknie sypaniałnic mieści się po 60 łóżek, nadal nie ma ciepłej wody do mycia, a z brudnych ścian spozierają na 16-latków wojażkie rysunki.

Perspektywny plan rozbudowy sieci szkół przewiduje w latach 1961—65 wybudowanie 24 szkół podstawowych, 27 gmachów licealnych i 22 gmachy szkolnictwa zawodowego. Jak z tego wynika, jest to plan poważny, należy więc dopilnować, żeby w całości był wykonany i to wykonany prawidłowo. Zastrzeżenie to stawiam z pełną premiedytacją ad rem, gdyż czas przyniósł pod tym względem wiele gorzkich rozczarowań. Tak np. przy ulicy Pojezierskiej wybudowano szkołę-symbol, szkołę-cacko, co ino pokazywać wycieczkom, fotografować do gazet i umieszczać na plakatach. I co? Wpakowano tam trzy organizmy: szkołę podstawo-

Koszt kształcenia dziecka w szkole podstawowej wynosi rocznie: 1.059 zł, w szkole licealnej — 2.132 zł, w zasadniczej szkole zawodowej — 2.813 zł, w technikum — 3.125 zł.

dynków w ogóle nie nadaje się na szkoły. Liczba młodzieży przypadająca na jedną izbę lekcyjną w szkołach zawodowych wynosi 74 w liceach ogólnokształcących 42. Z braku pomieszczeń do przedszkoli łódzkich (w Łodzi jest największy wskaźnik zatrudnienia kobiet) uczęszcza zaledwie 26,2 proc. dzieci w wieku 3 — 6 lat). W ciągu najbliższych 5 lat procent ten wzrośnie do 37, aby dopiero w 1965 roku osiągnąć liczbę 60. W tym celu trzeba jednak wybudować 115 nowych odpowiednich budynków.

Oczywiście, w tych warunkach uczeń staje się dla nauczyciela istotą bliżej nieznaną, a co za tym idzie rezultaty nauczania i wychowania pozostawiają również wiele do życzenia. Ponadto ciasnota taka wpływa ujemnie na zdrowie fizyczne i psychiczne młodzieży. 40 proc. dzieci posiada wady postawy, 10 proc. wady wzroku, 6 proc.

Straty wynikłe na skutek drugoroczności w szkole podstawowej osiągnęły w latach 1959—60 8 milionów złotych, w szkole licealnej — 3 miliony złotych, w szkolnictwie zawodowym — 7 milionów złotych.

wa, szkołę licealną i dwie szkoły zawodowe. Zakładając z góry, że ma to być wzorcowa szkoła politechniczna zainstalowano specjalne warsztaty, które i dla szkoły podstawowej i dla szkoły licealnej są zbyt precyzyjne, a dla dwóch szkół zawodowych jest ich jeszcze mnogość za wiele, gdy tymczasem pozostałe szkoły odczuwają ich brak. Przy ul. Armii Czerwonej zaprojektowano budowę szkoły dla piekarzy i gdy już

Internat mieści się na Polesiu, w dzielnicy szczególnie ubogiej w jakiegokolwiek instytucje kulturalne. Nie ma tam kina, kawiarni, cukierni czy klubu młodzieżowego. Po prostu czysta chemicznie biała plama kulturalna na tle naszego miasta. Wobec takiego stanu rzeczy mieszkańcy tej dzielnicy postanowili założyć na swym terenie blokowy dom kultury czyli coś w rodzaju świetlicy dla dzieci, klubu dla młodzieży, i kawiarni dla dorosłych. Celem zabiegów stały się puste halle próżnych koszar, w których mieści się właśnie wspomniany wyżej internat. Była to inicjatywa chyba najbardziej słuszną.

Dalszy ciąg
na str. 5



okazji postaramy się i tym zapoznać Czytelników, nie rezygnując z ogólnego, bardziej szczegółowego omówienia wyników całości po zakończeniu całej serii sondaży. Liczymy na dalszą pomoc i życzliwą współpracę tych, których „los szczęścia” umieścił w gronie statystycznej reprezentacji ogółu mieszkańców Łodzi.

WACŁAW PIOTROWSKI

Odpoczynek Wiesława Gołasa



Jak już pisaliśmy, w toku realizacji znajduje się obecnie kilka filmów polskich, a wśród nich „Ogniomistrz Kalen” realizowany według scenariusza opartego o powieść Jana Gerharda „Luny w Bieszczadach”. Reżyserami tego filmu są Ewa i Czesław Petelscy. Tytułową rolę kreuje popularny aktor warszawski Wiesław Gołas.

Zawód aktora, a szczególnie aktora filmowego daje wiele możliwości twórczych, ale jest także zawodem trudnym, wymagającym czasami silnej woli, a nawet bardzo dobrej... kondycji fizycznej. Świadczyć może o tym zdjęcie robocze z realizacji filmu ukazujące „odpoczynek” Wiesława Gołasa. Rzeczą normalną na planie filmowym jest powtarzanie czynności kilkakrotnie, poszczególnych ujęć i scen, czyli robienie tzw. dubli. Kilka ich trzeba było zrobić również w scenie tortur stosowanych przez bandytów z UPA na ujętym ogniomistrzu Kaleniu. W czasie przerwy między jednym a drugim dublem widzimy Gołasa wspinającego głowę w dół. Głowę podpięramu mu litościwy kolega z ekipy filmowej.

Jak widać, każdy zawód i każda praca ma przysłówowe dwie strony medalu.



Elisabeth Taylor — jedna z najbardziej opisanych gwiazd z Hollywood

Przystojny amant hollywoodzki, Kirk Douglas, zmienił się w niezgrabnego a jednak urzekającego brzydaka, w Van Gogha w filmowej wersji „Pasji życia”. Trudno poznać tego aktora poruszającego się zazwyczaj sprężystym, pewnym krokiem dandysa. Jego chód w „Pasji życia” stał się wyrazem jakiejś wewnętrznej abnegacji, jest krokiem człowieka wyzbytego wszelkiej kokieterii. Zdradza nerwowość, wewnętrzne napięcie, koncentrację wokół jednej idei fixe — jego sztuki.

Reżyser V. Minnelli z dużym pietysmem potraktował wszystko co składa się na malarstwo Van Gogha, a więc pejzaż, koloryt, realia, podkreślając tym nierozdzielny związek między światem zewnętrznym a światem wewnętrznym artysty, wzajemne oddziaływanie tych dwóch światów.

Ten pietysm dla szczegółu budzi uznanie ale i drażni czasem swoją pedanterią. Dzieje się to wtedy gdy akcja słabnie a miejsce jej zajmuje relacja biograficzna. To są najsłabsze fragmenty filmu.

W tych partiach film przypomina raczej instruktaż na temat jak powstaje dzieło sztuki.

Tylko dwa razy w czasie seansu na sali robi się cicho, oto Kirk Douglas — Van Gogh przyjeżdża do Zagłębia Borynagie by jako pastor szukać swego życiowego powołania. Tu już nie ma publicystyki. Jej miejsce zajmuje żywa, ciekawa akcja, świetny dialog. Sylwetka malarza jest pełna, psychologicznie uzasadniona. Czuje się nie-

TERESA ZWIERZCHOWSKA

„PASJA ŻYCIA”

pokój człowieka trawionego gorączką czynu, który na próżno szuka swego miejsca na Ziemi. Odkrywa kolejną pomyłkę, popada w apatię, z której wyrwa go „człowiek opatrnościowy”, brat Theo. Po raz drugi akcja angażuje widza od chwili gdy Van Gogh wyjeżdża do Prowansji. Przyjazd Gauguina, którego gra świetny aktor znany już z „La Strady” — Antony Quinn zagęszcza jeszcze akcję. Czuje się stopniowe, konsekwentne narastanie dramatu. Właśnie w tych partiach rekwizyty świata zewnętrznego grają

bolem jego rozpalonego mózgu, swoim dziwnym światłem drażnią napięte do granic wytrzymałości nerwy.

Wielejacy mistral stanowi zapowiedź nieszczęścia. Jest symbolem żywiołu, którego nie sposób opanować. Drażniąc działając również zagadkowa postać Gauguina, kłótnie, które wybuchają jak płomień, a wobec których Gauguin potrafi pozostać obojętny, podczas gdy Van Gogh angażuje się w nie z całą pasją

Kirk Douglas w tych partiach filmu jest przekonujący. Budzi lęk, litość, odrazę, połączone z szacunkiem. Czujemy się mali wobec tego wzniosłego szaleństwa.



niepoślednią rolę, urastają do miary symbolu. Np. lampy z nocnej knajpki, w której Van Gogh spędza swoje „białe noce”. Lampy te stanowią temat obsesyjny w malarstwie Van Gogha, są sym-

EKRAN- NIK

Amerkański reżyser Fleischer chciał, aby początek jego najnowszego superfilmu „Barabas” według powieści Langervista, przypadł na moment całkowitego zaćmienia Słońca 15-go lutego. Na górę Tamborelle (film kręcony jest we Włoszech) wniesiono kilkanaście kamer o bardzo silnych obiektywach, tudzież mnóstwo innego sprzętu. Na szczycie góry ustawiono trzy krzyże, wokół których zgromadziły się tłumy statystów. Zaćmienie Słońca służyć miało jako niesamowita a jednocześnie prawdziwa scenografia wielkiej sceny ultrazwyczajności Chrystusa. W kulminacyjnym momencie widok był rzeczywiście fantastyczny. Purpurowo-fioletowe światło zalało wierzchołek góry podkreślając czarne sylwetki trzech krzyży. Potem zapadła ciemność. Chłód ogarnął obecnych. W przyrodzie ranował niepokój. Nastroj prawdziwej grozy towarzyszył tej największej i zarazem najdziwniejszej rekonstrukcji filmowej.

* Nowo mianowany dyrektor Festiwalu w Wenecji oświadczył dziennikarzom, iż zamierza podnieść mocno w ostatnich latach nadszarpnięty autorytet artystyczny tej imprezy. W powodzi coraz to nowych festiwali filmowych Wenecja zatraciła swoją oryginalność i rangę.

Należy powrócić do ścisłego przestrzegania zasad regulaminu weneckiego festiwalu przyjętego w r. 1932 i ostatnimi czasy często zapomina-

nego. Jedyną podstawą selekcji filmów zgłoszonych na festiwal mają być względy artystyczne i kulturalne. Dobór odpowiedniego jury musi gwarantować więc całkowitą niezależność wyboru filmów jak i ich oceny.

* Znakomity krytyk francuski Marcel Martin autor książki „Język filmu” tak pisze o polskim filmie „Powrót”: „film utrzymany w trochę zbyt powolnym tempie i nieco przydług. Technika miejscami nadmiernie błyszcząca w stylu już odrobinkę przestarzałym, lecz jako całość film twardy, gorzki i zdumiewająco nonkonformistyczny, zwłaszcza w zupełnie nieoczekiwanym finale”.

„Ludzie w drodze” i „Gaudeamus”

Cyrkowcy—aktorzy i akrobaci, zonglerzy i linościzkowicze są bohaterami filmu Kazimierza Karasza oraz operatora Stanisława Niedbalskiego. Twórcy filmu

ukazują nam ludzi prawdziwych, pracujących intensywnie i w bardzo prymitywnych warunkach, podróżujących w cygańskich wozach, które służą za mieszkanie i za środek lokomocji. Oglądamy twarze skupione, przejęte wykonywaną próbą któregoś z numerów cyrkowych. Nie brak tym twarzom zmęczenia i ludzkiej brzydoty — cech, które trzeba na arenie przy wypełnionej widowni zastąpić uśmiechem lub zgrabnym retuszem. Jest w tym filmie również owa przyszła widownia złożona z gapiów obserwujących cyrk od strony jego podwórka.

W całym filmie nie pada ani jedno słowo komentarza. Dominuje obraz, reporterskie zdjęcia robione z ukrycia lub przy pomocy teleobiektywu. Ważną rolę gra w tym filmie dźwięk. A wreszcie przede wszystkim ludzie, którzy przygotowują się aby grać na cyrkowej arenie.

Innym ciekawym filmem Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie jest „Gaudeamus”. Co prawda barwne, majowe krakowskie Iuvenalia i I-szy Festiwal Kultury Studenckiej z roku 1959 mamy dawno poza sobą, a środowiska akademickie z całej Polski przygotowują się obecnie do II Festiwalu

A jednak film pozostał bardzo amerykański. Co to znaczy? Trudno sprecyzować. W każdym bądź razie nie dobrego. Po prostu Amerykanie są czasem zbyt nachalni w malowaniu nastroju. Nie znają cnoty umiaru. Nie chwytają pewnych subtelności, półtonów, półcieni. Mówią za głośno. U nich wszystko jest jednoznaczne, czarno-białe. Lubią stawiać kropkę nad „i”.

Np. każda rozmowa o zabarwieniu lirycznym ma rzewny podkład muzyczny, zbyt rzewny, aby tego nie zauważyć. Dotyczy to również gry aktorów. Chyba tylko Antony Quinn stanowi wyjątek. Jego gra jest aluzyjna, zostawia pewien margines, a mimo to stwarza on pełnokrwistą sylwetkę człowieka. Za to Van Gogh został trochę przerysowany i jednoznaczny. Takim zresztą przedstawił go chyba i Irving Stone w książce „Pasja życia”. Film pod tym samym tytułem jest tylko wierną kopią książki.



Kirk Douglas

w Gdańsku, to jednak warto obejrzyć dokument filmowy, który zarejestrował piękne, barwne dni krakowskich igraszek młodzieży.

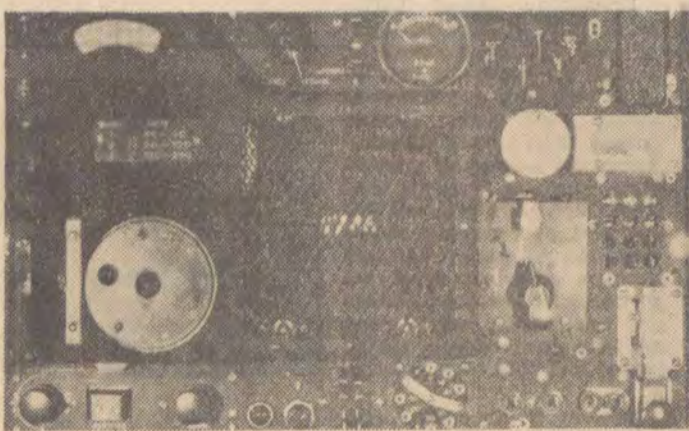
„Gaudeamus” reżyserów Hoffmana i Skórzewskiego ze zdjęciami Staśkiewicza, Niedbalskiego i Florkowskiego jest barwną impresją o młodości, o życiu, wiosnie i pięknym podwawelskim grodzie. Świetny montaż, bardzo dobry dźwięk czynią ten film prawdziwą perełką, oddającą przede wszystkim nastrój zabawy.

Padnie zapewne pytanie, gdzie konkretnie, w jakim kinie można te filmy obejrzeć? Niestety, kino „Adria” mimo zapewnień ze strony Miejskiego Zarządu Kin w Łodzi nie spełnia swego zadania w rozpowszechnianiu filmów krótkometrażowych. A rozpowszechnianie ich w charakterze tzw. dodatków do filmów fabularnych jest przysłówową metodą kupowania kota w worku, ponieważ repertuar kinowy nie wymienia gdzie i jakie dodatki wyświetla się. Chyba w tym wypadku Zarząd Kin może usunąć ten mankament podając wraz z aktualnym repertuarem filmowym również owe dodatki dopisane do filmów pełnometrażowych.

ALEKSANDER
NIESMIAŁEK



odpisy str. 3



Radłostacja radarowa

Lato 1959 roku... Zapadł późny lipcowy zmierzch. Z zakreślu szozy prowadzącej do Sommer wystrzeliły nagle światła samochodowych reflektorów. Z murów wylonil się czarnozłoty drogowskaz: „Nach Hammerstein — 5 km”.

Volkswagen skręcił z asfaltowej szosy w polną, wyboistą drogę. Kolysząc się na boki i wzbijając gęste tuman kurzu powoli parł naprzód.

Po kilku kilometrach jazdy przed samochodem zaczęła się linia lasu. Wóz wjechał w lesny dukt i zatrzymał się; z wnętrza wysiadło czterech mężczyzn.

Najwyższy z nich, siedzący dotąd obok kierowcy, spojrzal na tarczę nafosforyzowanego zegarka i powiedział z widocznym zadowoleniem: — No, jesteśmy na miejscu.

Jeszcze tylko mały spacer i granicę czeską będzie widać jak na dłoni. Pamiętając: uważnie obserwować wszystko, co się dzieje po tamtej stronie. Zanotować czas przemarszu patroli czeskich; gdzie i jakie są druty, czy zasieki, gdzie i jakiej szerokości zabronowane pola graniczne, Czekajcie, aż do was przyjdę. Jasne?

Trzej pozostali kiwnęli potakująco głowami.

Idziemy, Michał ze mną, Plewa razem z Janakiem. Mężczyźni rozdzielili się i po chwili sylwetki ich rozplynęły się w mroku.

Po kilkunastu minutach Plewa i Janiak dotarli do wyznaczonego punktu. Przed nimi rozpościerała się obszerna polana, za nią niezadrzewiony już teren opadał łagodnie w dół. W odległości niespełna kilometra, znajdowała się austriacko-czechosłowacka granica.

Obaj ułożyli się wygodnie w krzakach, wydobyli polowe lornetki i rozpoczęli staranną obserwację. Księżyc, który wylonil się zza chmur, oświetlił całe przedpole. W jego mldym blasku załśniły srebrnym potrójnie rzędy granicznych drutów. Dalej, szerokim, ciemnym pasem znaczył się zabronowany teren graniczny. Tam była już Czechosłowacja.

Oczy patrzących rejestrowały bacznie najmniejszy nawet szczegół. Wszystko było ważne: każdy krzak i drzewo, każda nierówność terenu, którą można było wykorzystać.

Nagle Janiak ścisnął mocno rękę Plewy. Ledwo dołyszalnym, zduszonym szepem powiedział: — Patrz! O! tam... W lewo...

Plewa spojrzal we wskazanym kierunku. Zza grupy drzew wylonily się sylwetki dwóch żołnierzy czeskiej strazy granicznej. Szli rozglądając się na boki, przez

ramię przewieszone mieli automatyczne pistolety.

Janiak patrzył w ich kierunku jak zahipnotyzowany, wciąż ścisnąjąc mocno rękę kolegi. Ale Plewę interesowało coś zupełnie innego. Myślał chłodno. Po chwili

Wziął od kompanów kartki z zapisami, zarządził śledzenie granicy także w dzień, po czym, zapowiedziawszy swój rychły powrót, znikł w lesnej gęstwinie.

Nie było go jednak przez cały dzień i przez całą następną noc. Janiak i Plewa, leżąc w krzakach, w nienajlepszych humorach zjedli zapasy konserw i sucharów, zapijając to wszystko wodą z manierek. Tkwiłi na posterunku dwie pełne doby i niemal na „wrywki” znali każdy szczegół obserwowanego terenu.

Po raz niewiadomo który notowali w pamięci niewielką kępkę drzew z prawej strony, niskie krzaki pośrodku odcinka i pofalowany teren z lewej, noszący nazwę „Jeleniowego Grzbietu”. I jeszcze trzy rzędy drutów, a za nimi ciemny pas ziemi, trzymetrowej szerokości.

Na wprost nich w niewielkim oddaleniu sterczał graniczny słup czechosłowacki z numerem i tarczą, na której przedstawiony był lew wspinający się na tylną łapę.

To było wszystko, co dało się dostrzec w najbliższej okolicy. Silnie powiększające szkła lornet połowych ukazywały — ale już na horyzoncie, w odległości kilku kilometrów — czarne pasmo drzew. Tam był las, do którego należało za wszelką cenę, jak najszybciej dotrzeć po przekroczeniu granicy.

Przez bite trzy dni i noc „obserwatorzy” zdani byli wyłącznie na „zimną kuchnię”. Janiak i Plewa dochozili już do kresu nerwowej wytrzymałości.

Wreszcie zjawił się „Wysoki”, wraz nim nadjechało drugim wozem jeszcze czterech ludzi.

Teraz sprawy potoczyły się szybko. Przybyli wyladowali dwie spore walizki. Zawierały one kompletny, nowiutki ekwipunek szpiegowski. Kolejno wylaniłi się: radiostacja, mikroskopijne aparaty fotograficzne, wytrzymałe na rozdarcie impregnowane kombinizony ochronne do marszu po lesie, specjalne namioty z lekkiej tkaniny, mapy, szyfry, mikrofilmy, środki chemiczne do pisania tapisiów.

Z osobnej przegródki dobyto broń: „steny”, ciężkie pistolety „parabellum”, mniejsze „Walthery” i „FN-ki”, nacinane angielskie granaty, noże i sztylety oraz specjalne pasy na amunicję.

Nie zabrakło także pieniędzy na szpiegowską robotę. Do kieszeni Janiaka, Plewy i Wartkiego powędrowały pokaźne pliki rubli, złotych, czechosłowackich koron, amerykańskich dolarów i zachodniemieckich marek, oraz austrackich szylingów.

Na końcu, jakby z pewnym ociąganiem „Wysoki” wręczył im niewielkie szklane fiolki. Nie objaśniał ich zawartości, ale pojętni „chłopey” dobrze wiedzieli, co zawierały. To miała być ich ostatnia „deska ratunku” — cyjankali.

Parę godzin zajęło Plewie i kolegom dokładne dopasowywanie dostarczonego sprzętu, rozmieszczanie go w odpowiednich futerałach, przeglądanie i załadowywanie broni. Szło to wolno, ale nikt nie przynaglał, nie popędzał. Starzy fachowcy wiedzieli dobrze, ile zależy nieraz od drabnego na pozór szczegółu...

Gdy skończyli przygotowania, był już późny wieczór. Tej nocy jednak jeszcze nie wyruszyli.

Księżyc świecił jak cynowa miska i cała granica tonęła w łagodnej, jasnej poświacie. Takie noce nie są nocami szpiegów i dywersantów. Ich sprzymierzeńcem jest ciemność i mrok. I takiej właśnie pory musieli się doczekać, aby rozpocząć swą działalność.

Dopiero noc z 20 na 21 lipca 1959 roku była taka, na jaką czekali. Już wieczorem zaczął padać niewielki deszcz, który do północy przerodził się w bezustanną, szumiącą ulewę. Silny, północny wiatr wyl i zawodził w konarach drzew.

Nadszedł właściwy czas działania. Wszystko było zresztą gotowe, każdy znał swoje zadanie na pamięć. Paroletni „staż naukowy” w szpiegowskich szkołach uczynił z tych ludzi automaty, działające z perfekcją, jak za dotknięciem odpowiedniego guziczka.

Instrukcje wydane przez „Wysokiego” były więc lakoniczne. — Punktualnie o 23.00 — mówił — Janiak, Plewa i Wartki podsuwają się pod same druty, tną je i przenikają w głąb terenu czeskiego. Kostek i ja ubezpieczamy „stenami” z lewej strony, Roman i Michał — z prawej. W razie spotkania patrolu otwierają ogień i ściągają na siebie pograniczników. W tym czasie grupa przechodząca będzie mogła, korzystając z naszej osłony, wycofać się lub, jeśli będzie już daleko — przysnąć w głąb Czech. W razie niepowodzenia — zbiorą tu na tej polanie.

Przypominam — zwrócił się do stojących już w pełnej gotowości kompanów — kierownikiem grupy jest Janiak. A teraz uzgodnimy zegarki. U mnie jest 22.50...

— To już wszystko — dodał po chwili, Ruszamy. No, Good luck! Czy jak wolicie: Glückliche Reise! DCN

niem potknięć, co budził słuszną żal pracowników i aktywnych działaczy do Waszego pisma za przesadne wybryki miłośników niedociąganie słownych, zwłaszcza, że są one zupełnie niespójne z ogromem pracy oświatowej, wykonywanej przez dziesiątki ofiarnych wyładowców i prelegentów, którzy w trudnych warunkach prowadzą szeroką akcję kulturalno-oświatową, dojeżdżając do najdalszych punktów województwa.

Upierdnie prosimy o znalezienie w Waszym piśmie miejsca na problemy oświatowe w pracy Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, które napewno zainteresują Waszych czytelników.

GENOWEFA NIEZABITOWSKA wiceprezes Zarządu Woj

Wziął od kompanów kartki z zapisami, zarządził śledzenie granicy także w dzień, po czym, zapowiedziawszy swój rychły powrót, znikł w lesnej gęstwinie.

Nie było go jednak przez cały dzień i przez całą następną noc. Janiak i Plewa, leżąc w krzakach, w nienajlepszych humorach zjedli zapasy konserw i sucharów, zapijając to wszystko wodą z manierek. Tkwiłi na posterunku dwie pełne doby i niemal na „wrywki” znali każdy szczegół obserwowanego terenu.

Po raz niewiadomo który notowali w pamięci niewielką kępkę drzew z prawej strony, niskie krzaki pośrodku odcinka i pofalowany teren z lewej, noszący nazwę „Jeleniowego Grzbietu”. I jeszcze trzy rzędy drutów, a za nimi ciemny pas ziemi, trzymetrowej szerokości.

Na wprost nich w niewielkim oddaleniu sterczał graniczny słup czechosłowacki z numerem i tarczą, na której przedstawiony był lew wspinający się na tylną łapę.

To było wszystko, co dało się dostrzec w najbliższej okolicy. Silnie powiększające szkła lornet połowych ukazywały — ale już na horyzoncie, w odległości kilku kilometrów — czarne pasmo drzew. Tam był las, do którego należało za wszelką cenę, jak najszybciej dotrzeć po przekroczeniu granicy.

Przez bite trzy dni i noc „obserwatorzy” zdani byli wyłącznie na „zimną kuchnię”. Janiak i Plewa dochozili już do kresu nerwowej wytrzymałości.

Wreszcie zjawił się „Wysoki”, wraz nim nadjechało drugim wozem jeszcze czterech ludzi.

Teraz sprawy potoczyły się szybko. Przybyli wyladowali dwie spore walizki. Zawierały one kompletny, nowiutki ekwipunek szpiegowski. Kolejno wylaniłi się: radiostacja, mikroskopijne aparaty fotograficzne, wytrzymałe na rozdarcie impregnowane kombinizony ochronne do marszu po lesie, specjalne namioty z lekkiej tkaniny, mapy, szyfry, mikrofilmy, środki chemiczne do pisania tapisiów.

Z osobnej przegródki dobyto broń: „steny”, ciężkie pistolety „parabellum”, mniejsze „Walthery” i „FN-ki”, nacinane angielskie granaty, noże i sztylety oraz specjalne pasy na amunicję.

Nie zabrakło także pieniędzy na szpiegowską robotę. Do kieszeni Janiaka, Plewy i Wartkiego powędrowały pokaźne pliki rubli, złotych, czechosłowackich koron, amerykańskich dolarów i zachodniemieckich marek, oraz austrackich szylingów.

Na końcu, jakby z pewnym ociąganiem „Wysoki” wręczył im niewielkie szklane fiolki. Nie objaśniał ich zawartości, ale pojętni „chłopey” dobrze wiedzieli, co zawierały. To miała być ich ostatnia „deska ratunku” — cyjankali.

Parę godzin zajęło Plewie i kolegom dokładne dopasowywanie dostarczonego sprzętu, rozmieszczanie go w odpowiednich futerałach, przeglądanie i załadowywanie broni. Szło to wolno, ale nikt nie przynaglał, nie popędzał. Starzy fachowcy wiedzieli dobrze, ile zależy nieraz od drabnego na pozór szczegółu...

Gdy skończyli przygotowania, był już późny wieczór. Tej nocy jednak jeszcze nie wyruszyli.

Księżyc świecił jak cynowa miska i cała granica tonęła w łagodnej, jasnej poświacie. Takie noce nie są nocami szpiegów i dywersantów. Ich sprzymierzeńcem jest ciemność i mrok. I takiej właśnie pory musieli się doczekać, aby rozpocząć swą działalność.

Dopiero noc z 20 na 21 lipca 1959 roku była taka, na jaką czekali. Już wieczorem zaczął padać niewielki deszcz, który do północy przerodził się w bezustanną, szumiącą ulewę. Silny, północny wiatr wyl i zawodził w konarach drzew.

Nadszedł właściwy czas działania. Wszystko było zresztą gotowe, każdy znał swoje zadanie na pamięć. Paroletni „staż naukowy” w szpiegowskich szkołach uczynił z tych ludzi automaty, działające z perfekcją, jak za dotknięciem odpowiedniego guziczka.

Instrukcje wydane przez „Wysokiego” były więc lakoniczne. — Punktualnie o 23.00 — mówił — Janiak, Plewa i Wartki podsuwają się pod same druty, tną je i przenikają w głąb terenu czeskiego. Kostek i ja ubezpieczamy „stenami” z lewej strony, Roman i Michał — z prawej. W razie spotkania patrolu otwierają ogień i ściągają na siebie pograniczników. W tym czasie grupa przechodząca będzie mogła, korzystając z naszej osłony, wycofać się lub, jeśli będzie już daleko — przysnąć w głąb Czech. W razie niepowodzenia — zbiorą tu na tej polanie.

Przypominam — zwrócił się do stojących już w pełnej gotowości kompanów — kierownikiem grupy jest Janiak. A teraz uzgodnimy zegarki. U mnie jest 22.50...

— To już wszystko — dodał po chwili, Ruszamy. No, Good luck! Czy jak wolicie: Glückliche Reise! DCN

niem potknięć, co budził słuszną żal pracowników i aktywnych działaczy do Waszego pisma za przesadne wybryki miłośników niedociąganie słownych, zwłaszcza, że są one zupełnie niespójne z ogromem pracy oświatowej, wykonywanej przez dziesiątki ofiarnych wyładowców i prelegentów, którzy w trudnych warunkach prowadzą szeroką akcję kulturalno-oświatową, dojeżdżając do najdalszych punktów województwa.

Upierdnie prosimy o znalezienie w Waszym piśmie miejsca na problemy oświatowe w pracy Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, które napewno zainteresują Waszych czytelników.

GENOWEFA NIEZABITOWSKA wiceprezes Zarządu Woj

ROZMOWA Z ŁÓDZIANINEM

Roman Kaczmarek jest łodzianinem z działa prądziadła. Pracę w Państwowym Archiwum rozpoczął już w 1937 r. Początkowo pracował jako praktykant pod dyktando L. Waszkiewicza. Obecnie pełni funkcję dyrektora archiwum.

— Panie dyrektorze dlaczego został Pan właśnie archiwistą?

— Archiwistą zostałem przede wszystkim z zamiłowania do historii, szperactwa i szukania starych nieznanych i nieodkrytych dokumentów. Ponieważ jestem uczuciowo związany z naszym miastem, zamiast historii ogólnej — powszechnej, poświęciłem się historii regionalnej Łodzi. Dzieje Łodzi przed uprzemysłowieniem były na ogół niezbyt nam znane. Ambicją moją jest pokazanie dziejów Łodzi przed rozwojem przemysłowym. Jeżeli chodzi o archiwum to jest ono instytucją naukową gromadzącą, opracowującą i udostępniającą materiały do badań naukowych. Dostarczamy również dokumentację władzom, działaczom, szkołom i obywatelom miasta. Archiwum ma także obowiązek kontrolowania na bieżąco akt w instytucjach i urzędach. Gromadzimy też materiały fotograficzne i ikonograficzne.

— Wyobrażam sobie jak ogromne zasoby dokumentów posiadacie w swoim archiwum i jak bardzo różnorodne.

Tak, rzeczywiście. Jeśliby ułożyć je wszystkie po bibliotecznemu, długość ich wyniosłaby ok. 14 km czyli od Pabianic do Zgierza. Same akta firmy Szajblera i Grohmana dałoby się załadować do dwóch wagonów kolejowych. Dokumenty przechowywane w archiwum pisane są w różnych językach, począwszy od łaciny przez nowożytną do włoskiego i angielskiego.

Jeżeli chodzi o odnajdywanie potrzebnych nam materiałów to główną rolę odgrywa tu pamięć wzrozkowa. Złośliwi nazywają nas „grabarzami” — zbieramy przecież materiały po nieistniejących już instytucjach i urzędach.

Znając Pana ogromne przywiązanie i zainteresowanie naszym miastem, chciałbym się dowiedzieć jakie prace poświęcił Pan Łodzi dotychczas i jakie jeszcze ma Pan zamiar poświęcić Łodzi?

Praca moja ma dwa kierunki. Przede wszystkim badania naukowe i ich popularyzacja. W ub. roku na łamach „Głosu Robotniczego” ukazały się moje felletony historyczne pt. „Kartka z przeszłości”. W 1958 r. „Książka i Wiedza” wydała opracowane przeze mnie „Zróżdka do historii miast łódzkiego okręgu przemysłowego w XIX w”. Ukazał się również „Ród Drewnowiczów” — studium z dziejów mieszczaństwa łódzkiego. Chodziło mi tu o wykazanie genealogii łódzkiej z okresu przed uprzemysłowieniem. Na bieżąco od trzech lat publikuję w Łódzkim Czasopiśmie Gospodarczym materiały poświęcone Łodzi i województwu. Jestem również przewodnikiem po województwie łódzkim.

No i pokażna ilość odczytów i wykładów dla szkół i bibliotek. Ogółem wydałem przeszło 60 prac naukowych. Interesuję się też życiem kulturalnym regionu łódzkiego, przygotowuję pracę o życiu teatralnym Łodzi i okręgu oraz o szkolnictwie dawnej Rzeczypospolitej. Poza tym złożyłem w Wyd. Łódzkim konspekt na monografię ulicy Piotrkowskiej. Przygotuję też materiały do bibliografii Łodzi i województwa od czasów najdawniejszych do r. 1945.

— Co Pan sądzi o tradycjach kulturalnych naszego miasta? Łódź uważana była zawsze za miasto wybitnie przemysłowe, robotnicze

— W tej chwili nie odgrywamy oczywiście tej roli co w latach 1945-47. Wtedy to wszyscy znakomici pisarze, aktorzy, malarze znaleźli w naszym mieście stolicę kulturalną Polski. No ale „dawna” Łódź nie była najgorsza jeżeli chodzi o poziom kulturalny. Już w r. 1853 Łódź otrzymała pierwszą monografię pióra Oskara Flatta. Od tego momentu nie wydano analogicznej książki. W tym okresie działał w Łodzi poeta Dłuzniewski — napisał doskonały poemat o naszym mieście. Na przełomie XIX i XX w. Łódź stała się poważnym ośrodkiem przemysłowym jak na owe czasy nasze warunki. Wychodziły wówczas dwa dzienniki „Rozwój” i „Goniec Łódzki”. Potem prasa niemiecka zorganizowała. Poza tym czasopisma naukowe np. lekarskie redagowane przez dr. Seweryna Sterlinga.

Kosikiewicz napisał wówczas „Bawelnę”. Reymont wydał „Ziemię Obiecana”. Gawalewicz dyr. teatru łódzkiego napisał „Wir”, książkę ukazującą stosunki w Łodzi w okresie 1905 r. Złoty wówczas Antoni Szandierowski poeta, dramaturg, krytyk. Porównywanego go z Wyspiańskim. Był on autorem „Parakleta” i „Marii z Magdali”. Człowiek ten wybitna zresztą jednostka indywidualność, za swoje przekonania i świecki tryb życia został usunięty z Łodzi na małą wiejską parafię. Szukał z nim kontaktu sławny wówczas Przybyszewski. Istniał w Łodzi duży ośrodek malarski i muzyczny. Weźmy np. Wołoskiego, Gawalewicza. Działal tu wówczas Zelwerowicz. Można by mówić wiele na ten temat.

— Jak wiemy kandydował Pan do Rady Narodowej. Co sądzi Pan o programie wyborczym i co chciałby Pan osiągnąć dla swoich wyborców?

— Program wyborczy jest ambitny i realny. Pracę w radzie pragnę poświęcić zagadnieniom kultury, nauki i oświaty. Przez dwie kadencje do ostatniej chwili byłem przewodniczącym Komisji Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej. Doświadczenia z tamtej rady oraz praca w nowej będą dla mnie bardzo korzystne. Pragnieniem moim jest nieprzebudowywanie ulicy Piotrkowskiej, która to jest przecież zespołem zabytków naszego miasta. Uważam za należąceby zwrócić uwagę na przedmieścia sprzed r. 1939 i peryferie znajdujące się już właśnie w śródmieściu.

Rozmowę przeprowadziła WYSZYMIRSKA KRYSZYNA



właściwie poziom kulturalny jej pozostawał zazwyczaj dość niski.

— W tej chwili nie odgrywamy oczywiście tej roli co w latach 1945-47. Wtedy to wszyscy znakomici pisarze, aktorzy, malarze znaleźli w naszym mieście stolicę kulturalną Polski. No ale „dawna” Łódź nie była najgorsza jeżeli chodzi o poziom kulturalny. Już w r. 1853 Łódź otrzymała pierwszą monografię pióra Oskara Flatta. Od tego momentu nie wydano analogicznej książki. W tym okresie działał w Łodzi poeta Dłuzniewski — napisał doskonały poemat o naszym mieście. Na przełomie XIX i XX w. Łódź stała się poważnym ośrodkiem przemysłowym jak na owe czasy nasze warunki. Wychodziły wówczas dwa dzienniki „Rozwój” i „Goniec Łódzki”. Potem prasa niemiecka zorganizowała. Poza tym czasopisma naukowe np. lekarskie redagowane przez dr. Seweryna Sterlinga.

Kosikiewicz napisał wówczas „Bawelnę”. Reymont wydał „Ziemię Obiecana”. Gawalewicz dyr. teatru łódzkiego napisał „Wir”, książkę ukazującą stosunki w Łodzi w okresie 1905 r. Złoty wówczas Antoni Szandierowski poeta, dramaturg, krytyk. Porównywanego go z Wyspiańskim. Był on autorem „Parakleta” i „Marii z Magdali”. Człowiek ten wybitna zresztą jednostka indywidualność, za swoje przekonania i świecki tryb życia został usunięty z Łodzi na małą wiejską parafię. Szukał z nim kontaktu sławny wówczas Przybyszewski. Istniał w Łodzi duży ośrodek malarski i muzyczny. Weźmy np. Wołoskiego, Gawalewicza. Działal tu wówczas Zelwerowicz. Można by mówić wiele na ten temat.

— Jak wiemy kandydował Pan do Rady Narodowej. Co sądzi Pan o programie wyborczym i co chciałby Pan osiągnąć dla swoich wyborców?

— Program wyborczy jest ambitny i realny. Pracę w radzie pragnę poświęcić zagadnieniom kultury, nauki i oświaty. Przez dwie kadencje do ostatniej chwili byłem przewodniczącym Komisji Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej. Doświadczenia z tamtej rady oraz praca w nowej będą dla mnie bardzo korzystne. Pragnieniem moim jest nieprzebudowywanie ulicy Piotrkowskiej, która to jest przecież zespołem zabytków naszego miasta. Uważam za należąceby zwrócić uwagę na przedmieścia sprzed r. 1939 i peryferie znajdujące się już właśnie w śródmieściu.

Rozmowę przeprowadziła WYSZYMIRSKA KRYSZYNA

LIST DO REDAKCJI TYGODNIKA „ODGŁOSY“

W numerze 11/1999 Waszego pisma ukazała się notatka pt. „Nasz języczek powszechny”, która krytykowała błędy językowe jednego z mówców, zabierających głos na posiedzeniu Sesji Wyjazdowej Zarządu Głównego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, odbytej w dniu 8 marca r.b. w Łodzi.

Gdyby nawet wasze zarzuty były słuszne, to powstaje pytanie, czy „Odgłosy” tylko tyle mogą o tej konferencji powiedzieć. Przecież jedynie pismo literacko-społeczne w Łodzi powinno zainteresować się również i treścią narady, która była bardzo owocna, konstruktywna i budująca. Poruszane na naradzie proble-

my, dotyczące oświaty dorosłych w zakładach pracy, są aktualne nie tylko dla Łodzi, lecz także dla całego kraju i w aspekcie ogólnopolskim były na tej naradzie omawiane. Wnioski, podjęte na naradzie przyniosły rezultaty już w niedalekiej przyszłości. Merytoryczne problemy winny bardziej interesować Wasze pismo, a złośliwość można było choćby przez koleżeńską solidarność odstąpić „Szpilkom”, których zadanie polega na wyzukiwaniu takich kwiatków, wyrwanych z ogólnego kontekstu. Kwiatki takie, zebrane w bukietek, mogą oczywiście razić, natomiast w całym tekście nie było ich

aż tyle i tak rażących, jak to wynikało z Waszej notatki.

Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Łodzi byłby niezmiernie wdzięczny Waszemu poczytnemu piśmiu, gdybyście chociaż raz na pięć lat poruszyli jakiś ważny problem oświaty dorosłych, wynikający z pracy 125 Uniwersytetów Powszechnych, 300 punktów odczytowych, lektoratów, kursów, studiów i innych form pracy, prowadzonych przez Zarząd Wojewódzki TWP.

Obustronne korzyści byłyby wtedy niewątpliwie wielkie.

Cenimy krytykę, jeżeli jest słuszną i konstruktywną. Bronimy się natomiast przed złośliwością i wybrykami-

niem potknięć, co budził słuszną żal pracowników i aktywnych działaczy do Waszego pisma za przesadne wybryki miłośników niedociąganie słownych, zwłaszcza, że są one zupełnie niespójne z ogromem pracy oświatowej, wykonywanej przez dziesiątki ofiarnych wyładowców i prelegentów, którzy w trudnych warunkach prowadzą szeroką akcję kulturalno-oświatową, dojeżdżając do najdalszych punktów województwa.

Upierdnie prosimy o znalezienie w Waszym piśmie miejsca na problemy oświatowe w pracy Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, które napewno zainteresują Waszych czytelników.

GENOWEFA NIEZABITOWSKA wiceprezes Zarządu Woj

niem potknięć, co budził słuszną żal pracowników i aktywnych działaczy do Waszego pisma za przesadne wybryki miłośników niedociąganie słownych, zwłaszcza, że są one zupełnie niespójne z ogromem pracy oświatowej, wykonywanej przez dziesiątki ofiarnych wyładowców i prelegentów, którzy w trudnych warunkach prowadzą szeroką akcję kulturalno-oświatową, dojeżdżając do najdalszych punktów województwa.

Upierdnie prosimy o znalezienie w Waszym piśmie miejsca na problemy oświatowe w pracy Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, które napewno zainteresują Waszych czytelników.

GENOWEFA NIEZABITOWSKA wiceprezes Zarządu Woj



Zapraszamy do pawilonu jedwabioń

TO WARTO ZOBACZYĆ



Jeśli nie chcesz mojej zguby — cukiereczka kup mi luby...



Nasze kochane włókno...

Dokończenie ze str. 1

cowni krawieckich, zakładów produkujących kopie filmowe itd. Ich trud należało pokazać i tym samym nagrodzić.

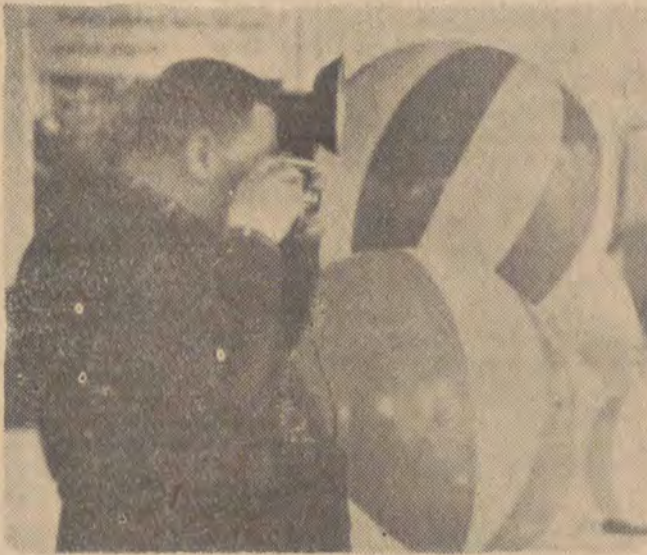
Za to nasze kochane włókno perli się w ekspozycjach jedwabiu, bawełny, elany tysiącem barw i odcieni. Oglądamy piękne dywany o nowoczesnym wzorze, panowie wzdychają przy krawatach, które można wyprać, wysuszyć i zaraz włożyć — gdyż się nie gniotą. Jak zawsze przy stoiskach z adapterami rozmowy na temat eksploatacji. Dlaczego nie wystawiać adapterów stereofonicznych, o których pisała prasa — pyła ktoś. — Nie pokazujemy niczego czego nie można dostać w sklepach. To nasza zasada — odpowiada informator z ŁZR. Adaptery stereofoniczne przeznaczone są do zestawów: radio-adapt, jak wypuszczają wkrótce — zakłady Kaspraka.

I tak jest na tej wystawie. Nie ma tam modnej kiedyś „détologii” i „wypinania się”. Są fakty, namacalne i rzeczowe. I faktami przekonuje nas wystawa o wielkim sukcesie trudnej i znoјnej pracy łódzkiego robotnika i inżyniera, w ciągu minionych lat 16. Warto zaiste wybrać się z całą rodziną i obejrzeć stoiska w Hali Sportowej. A kiedy zabola was nogi idcie zobaczyć kolorowy film o Łodzi pt. „Łódź miasto nieznane”. Bo naprawdę jest ono nieznane nawet przez tych, którzy uważają się za stu procentowych łódzianów. Ten film dopełnia całość: jest spojrzeniem w przeszłość i przyszłość Łodzi. Tak jak wystawa.

TEKST I ZDJĘCIA
WIESŁAW
MACHEJKO



Tę dziewczynę z „Pstrągą” spotkacie na ekranie w filmie „Łódź — miasto nieznane”



Wiele rzeczy warto sfotografować na pamiątkę

List otwarty do obywateli kandydatów

Nalszy ciąg
ze str. 2

A oto co na ten temat znalazłem w „Dzienniku Łódzkim” z dnia 29.IV.1960 r. w artykule pod znamennym tytułem: „Serdecznie gratulujemy! W czynie społecznym na Polesiu powstała piękna świetlica”. I dalej oto czytamy:

„Do realizacji pomysłu zabrano się zimą i to bardzo „ostro”. Na czele stanęła grupa ludzi dobrej woli — Aleksy Danielski, Bolesław Watkowski, Władysław Wojterski i kilku innych. Z pomocą przyszła tutejsza grupa partyjna, Koło Przyjaciół Dzieci, LK i Komitet FJN, a także młodzież z internatu i... dziecięcy komitet blokowy, który się spontanicznie zorganizował z 11 i 12-latków, okupujących okoliczne pod-

wórka. Wspólnie czyszczono, heblowano, malowano. Komitet postarał się też o zdobycie bodaj minimum potrzebnych funduszy, organizując w Filharmonii imprezę dochodową. Z pomocą pośpieszyło też — tak, tak! — Pre-

W roku szkolnym 1959 — 1960 młodzież liceów ogólnokształcących Łodzi wpłaciła do kas oszczędności 300 tysięcy złotych.

zydium DRN. I oto onegdaj dosłownie nieprzebrany tłum mieszkańców z okolicy wraz z dziećmi, wszyscy w odświętnych ubraniach zebrał się w gotowej już, pięknie „wysz-

kowanej” świetlicy aby święcić jej otwarcie na pierwszej uroczystości — akademii 1-majowej. W akademii uczestniczyli oczywiście i goście oficjalni z przewodniczącym DRN — Zatośniańskim i sekretarzem KD PZPR — Zientarskim na czele. Było dużo wzruszenia, radości i kwiatów, którymi obdarowano tych, którzy przyczynili się do zrealizowania pięknego czynu społecznego. Były nawet dyplomy uznania które otrzymali: Aleksy Danielski, Bolesław Watkowski i Władysław Wojterski.

Świetlica już od początku ma ambitne plany działania. Tu odbywać się będą odczyty i dyskusje na tematy wychowawcze, tu znajdzie pole do popisu Komenda Hufca

ZHP — Polesie, tu będzie się wypożyczać książki ze skompletowanej już biblioteki, organizować zabawy dla dzieci i wieczory przy telewizorze. Bo i telewizor i podobno mały bar kawowy znajdą się wkrótce w tej świetlicy”.

Chodzę, szukam, szperam po całym budynku i nie widzę żadnego śladu potwierdzającego słowa tej optymistycznej notatki. Otóż co się okazało: owe dzieło społecznej inicjatywy po paru miesiącach egzystencji zamknięto po prostu na kłódkę a w tym miejscu Zarząd Aptek założył swoje magazyny (!).

Ależ oczywiście, cieszę się bardzo, że mamy tak wiele lekarstw na dolegliwości ludzkiego ciała, dumny je-

stem z pięknych osiedli, które zwartym pierścieniem otaczają miasto, oko mi bieleje z podziwu gdy patrzę jak „koluszkowskie” eklepy przeobrażają się w europejskie „SAM-y” lecz zagadnienie szkolnictwa, oświaty, wychowania, kultury stawiam na pierwszym miejscu.

Ojywatele Kandydaci! Polska będzie taka jaka będzie polska młodzież.

KAROL BADZIAK

odgłosy 5

HOLGER DRACHMANN (1846—1908) reprezentuje krytyczno-realistyczny kierunek literatury skandynawskiej z drugiej połowy ub. stulecia, podobnie jak Ibsen, Strindberg, Jacobsen.

Uważany jest za jednego z największych literatów Północy.

Prócz bogatej spuścizny lirycznej pozostawił Drachmann po sobie sporo prozy, z której najbardziej cenią się — i czyta po dziś dzień — nowele i drobne opowiadania.

Ze zbioru „Opowiadań drobnych” (Gyldendal, Kopenhaga) pochodzi także poniższy fragment „Romansu w krainie wydm”.

Kren Normann miał trzech synów.

Sam zapoznał się wcześniej z twardą szkołą życia. Ojciec jego miał mały kuter w Norwegii. Chłopiec urodził się gdzieś w pobliżu Kristiansanda, i wypływał z ojcem w morze, gdy tylko potrafił stanąć prosto na pokładzie. Działo się to w czasach „angielskich”, czasach wojny. Kuter tropiono, ścigano, aż wreszcie, tuż przy nabrzeżu pojmano. Ojciec i syn dostali się do niewoli. Odzyskali wolność w drodze wymiany jeńców. Ruszyli znów w morze, by rozbić się tu, w pobliżu tych brzegów.



I widocznie ta ziemia, ten brzeg zatrzymał chciał chłopca. Ojciec został bowiem na rafach, syna fale rzuciły na wydmy. Ludzie nadali mu imię Kren. Chłopiec został parobkiem, ale częściej znajdował się w łodzi na morzu niż z owcami na pastwisku. Drobny lecz muskularny, zacięty, wytrzymały, zawsze z niespokojnym błyskiem w oczach, większość swego czasu spędzał na łó-wiskach i wśród rzuconych na mieliznę wraków. Osobiste niebezpieczeństwo lekce-ważył. Posiadał wystraszony zmysł wyrachowania. Z bie-



giem lat poznano go już na całym wybrzeżu wzdłuż wód terytorialnych, zarówno jako uporeczywego młodziaka, jak też wytrawnego szypka.

Poślubił wcześniej niemłoda już dziewczyną, właścicielkę połowy jednego z nielicznych tu domów. Brat jej, właściciel drugiej połowy, zginął pewnej zimowej nocy podczas zadyrki śnieżnej na brzegu. Blask śnieżny go oślepił czy też wpędził w morze. Kipiel morska go pochłonięła; zwłoki wypłynęły w długi, długi czas potem.

str. 6 **odpisy**

Kren Normann miał teraz żonę i cały dom. W krótkim czasie przyszło na świat trzech synów.

Synowie stali się dumą ojca. Skąpemu w słowa, zamkniętemu w sobie oczy się śmiały, gdy w łodzi rzucał chłopcom krótkie rozkazy i widział, jak chętnie i do-kładnie były przez nich wykonywane, jak bardzo byli ci chłopcy krwią jego krwi.

Chłopcy zawsze jedzą du-żo; trzeba więc było ciężko tyrać. Tyralli. Kren Normann starał się dla swoich synów o wszystko, o co tylko po-starać się mógł, rośli więc i rozwijali się. Różne mieli charaktery, ale wszyscy trzej wyrastali na nieustraszonych i doświadczonych ludzi mo-rza.

Najstarszy, Jürgen, naj-bardziej chyba przypominał ojca — z jego lat najwcześ-niejszej młodości: był tak samo malomówny, o silnej woli, nie ustępujący nigdy przed żadnymi przeciwno-ściami.

Jürgen powołany został do służby w marynarce. Wró-cił z niej do domu. Ślicznie wyglądał w mundurze kró-lewskiego marynarza...

W pewien poniedziałek zdarzyły się tańce u właściciela jedynej na wydmach zagrody. Kren Normann nie lubił zabaw, a już szczegól-nie — tańców. Ale Jürgena to od pójścia tam nie po-wstrzymało.

W pierwszą zaś niedzielę po owym dniu poszedł Jör-gen już na spacer z gospo-darską służebną. Wygląd miała wciąż jeszcze niemal dziecięcy, włosy ciemne i gładkie, oczy wielkie i zdzi-wione. Spojrzenie tych oczu nie błądziło w przestrzeni. Z wyraźnym upodobaniem spoczywało ciągle na mło-dym, smukłym marynarzu. I to mimo że wymownością nie dorównywał on nawet w połowie swemu bratu Karo-lowi, który towarzyszył par-ce przez kilka pierwszych chwil spaceru wśród wydm.

Podobnie minęło kilka niedziel następnych...

Aż pewnego dnia — na dole, przy łodzi — rzekł oj-ciec Jürgeniowi z naglą:

— Chodzisz z tą dziew-czyną stamtąd?

— Tak.

— Jak jej na imię?

— Sara.

— Ladna... Nie masz chy-ba żadnych co do niej za-miarów?

— Ani mi to w głowie.

— Czego więc chcesz od niej?

— Jesteśmy po prostu za-ręczeni!

— Głupie chłopaczysko! — burknął ojciec. — Idź zaraz do domu, tylko nie tam cza-sem! Płynę dziś sam!

Zawsze tak czynił Kren w zdenerwowaniu. Wściekły, krótkimi uderzeniami wosłó wyrwał się wówczas w dal. Morze go chłodziło, powołał uspokajało.

Więcej nie mówili już ze sobą. Włosną syn odszedł, by poszukać sobie znów służby na statku.

Pewnego późnego popołud-nia wracał Kren z łodzi. Szedł przez wydmy. U pod-nóża jednego z piaszczystych pagórków przystanął nastu-chując. Wreszcie wdrapał się ostrożnie na wierzchołek, odsunął na bok watłą kепkę traw i spojrzał w dół.

Siedziała tam dziewczyna. Karol stał obok, odając list. Przyjecha go, zerknęła i znów podniosła oczy na Karola.

— Wolisz, żebym odszedł? — spytał chłopak. Skłębła głową, podał więc jej rękę na pożegnanie i poszedł.

Ojciec przeczekał w trzci-nie, aż syn się oddalił, a po-tem zsunął się raptownie z pagórka w dół, do dziewczyny.

Spojrzała nań wystraszona. Chciała ukryć list. Przeskoczył jej w tym moc-nym chwycem za ramię i groźnym pokrzykiem:

— Pewnie od Jürgena?! Wyobrażam sobie! Ale... ale ty wybij go sobie z głowy!...

— Nigdy! — wyrwało jej się przez zły.

— To potrwa wiele lat, nim zdola cię utrzymać i kupić



sobie dom. A na razie sie-dzisz tu, martwisz się nie-potrzebnie, zaniedbujesz swo-ją pracę. A chyba... chyba nie było jeszcze nic między wami?

— Nie, nie! — odrzekła wycierając zapłakane oczy.

W okresie wigilijnym zmarła matka synów. Była chorowita, ostatnio wciąż le-żała. Wszyscy więc byli na tę śmierć przygotowani. W jej dniach ostatnich i pod-czas pogrzebu syn najmłod-szy, Jan, okazał matce naj-więcej ciepła.

Tak został Kren Normann z dwoma synami sam w do-mu.

A potem, w czasie wiosen-nego zrównania dnia z no-cą, przyszła wieść, zrazu głucha, później potwierdzona pismami towarzystwa okrę-towego i kapitana: Podczas burzy na Bałtyku, gdy trzeba było zwinąć i naprawiać żagle — Jürgen padł pod ciężarem walącego się masz-tu, czy też spadł z niego. Nie wyjaśniło się nigdy, co i jak się dokładnie stało, lecz jedno było pewne: Jürgen nie żył.

W pierwszej chwili Kren Normann przyjął cios ten jak człowiek twardy, w pełni sił, nieugięty. Ale zalał się

— Nie miałem odwagi — rzekł cicho Karol.

Stary siedział jeszcze przez chwilę milcząco, poczem warknął:

— Tak szybko zapomniała Jürgena?

Karol odpowiedział:

— Ona mówi, że patrząc na mnie musi myśleć o Jör-genie... A poza tym jestem bądź co bądź żywy.

Stary obrabiał cały czas nożykiem swą łaskę. Teraz wciął się ostrzem głęboko:

— Według mnie — rób co chcesz!

— Czy ona może tu przyjąć?

— Nie!

Podczas następnego wio-sennego przesilenia wiele statków rozbiło się przy brzegu Karol pracował za dwóch, za trzech; chciał po-kazać, co potrafi. Ratowali z wraków, co tylko było mo-żna. Ciężka praca i stosun-kowo dobry zarobek zbliży-ły ich znowu bardziej do siebie wzajemnie.

Podczas jednego z rejsów Jan nabawił się gorączki i dreszczy. Ilekroć można było ukryć to przed starym — przychodziła do domu Sara, aby pielęgnować chorego. Wszystko bowiem, co dobre, chciała Sara nieść temu do-mowi, o który nie troszczyła się żadna inna ręka kobieca; u Krena Normanna oszczę-dzano przecież...

Ludzie z niewielu tutej-szych samotnych domostw na wydmach nauczyli się wreszcie żyć gromadnie. Wy-pożyczili większą łódź i ku-pili największy z wraków — obficie załadowany parowiec leżący na najodleglejszej rafie. Tłusty to był kasek dla tych biednych ludzi, pó-ki pogoda dopisywała. Pew-nego popołudnia zerwał się wichor, wzburzył morze. Tam, na morzu, przy wraku zabrakło zgody. Jedni chcieli dostać się natychmiast na ląd (między nimi także Kren Normann, który tym razem był zdania, iż należy zado-wolić się połowicznym za-a-dunkiem łodzi), kilku innych chciało jednak wracać ko-niecznie z ładunkiem peł-nym. Udało im się w końcu namówić także Krena, by pozostał. I oto rzucona falą łódź, uderzywszy o rozdarta żelazną ścianę parowca — zatonała. Od ładu przybyła wprawdzie inna łódź na ra-tunek, kilku ludzi nie doli-czono się jednak; nigdy ich też więcej nie widziano. Wśród nich był — Karol.

Krena Normanna zanie-siono do domu, rozbitego i nieprzytomnego. Leżący w gorączce Jan nie zauważył nawet, że kogoś położono obok niego do łóżka. Sara była właśnie w izbie. Teraz dwóch już mężczyzn potrze-bowało jej pomocy; jej wła-sne nieszczęście i żaloba musiały ucieknąć.

I Sara przychodziła i od-chodziła. Gdy zarówna ojciec, jak i syn mogli wreszcie po-dnieść się z łóżka i kiedy obaj zrozumieli co stracili — pojeśli jednocześnie co zyska-li. Stało się jakoś faktem zrozumiałym samo przez się, że ta młoda kobieta, tak ofiarnie jak nia była z na-tury, przychodziła i odchod-ziła bez wielu słów, a prze-cież bardziej czule niż szor-stko. Tak jak to, że w koń-cu przeniosła się do izdebki na poddaszu i zajęła całym gospodarstwem w tym bar-dzo już zaniedbanym domu.

Stary widział — i po raz pierwszy odczuł ukłucie w serce — jak oboje młodzi zbliżali się do siebie coraz



bardziej. Sam jednak nie umiał sobie już wyobrazić życia bez Sary. Ilekroć o tym myślał, czy przypad-kiem nie jest ona w domu zbyt uczynna — wyjścia z sy-tuacji nie mógł już znaleźć. Czuł się tak rozdarty, tak niezdolny do przeniknięcia czegokolwiek swymi myśla-mi, że pozostawiał bieg fak-tom i czasowi. Wszystkiemu w świecie pozostawiał wła-sny bieg. Sam czuł się za mały i za słaby do jakiego-kolwiek oporu. Także — przeciw sobie samemu...

Pewnego letniego dnia sie-dział w górze na wierzchoł-ku wydm i patrzył beczyn-nie — ponad kotłina — w morze. Poprzedniego dnia i podczas nocy dał ostrej wiatr; teraz zlagodniał i tylko ki-piące fale zalewały rafy i niosły do jego uszu swą starą pieśń.



Jan był z innymi młez-kańcami wydm w tej chwili na morzu, w ich norweskiej łodzi. Ale gdy powróci do domu, Sara tam będzie...

Stary oddychał ciężko i rył piętami w piasku. Czyżby zazdrość o Sarę, że do niej należał jego syn jedyny? Czyżby zazdrości własnemu synowi radości posiadania Sary?

Siedział tak i obserwował norweską łódź, właśnie nad-pływającą — małą skorupkę od orzecha na morzu przy najodleglejszej skale...

I oto nagle ta mała kurzu-jak drobina kurzu w nie-skończonym ogromie niebie-skiego powietrza.

Nie krzyknął. Zawył jak śmiertelnie ugodzone zwierzę. Potem zdrętwiał, jakby śmierć sięgnęła po niego sa-mego, spadł ze zbocza w dół, podniósł się na nogi, biegł, biegł jak szalony wzdłuż brzegu, na którym nie zna-lazł żadnej łodzi. Ostatnia przecież na tym wybrzeżu łódź zniszczona została pod-czas poprzedniego nieszczę-ścia, katastrofy przy wraku parowca.

Przez cały dzień, przez całą noc, przez cały dzień następny dwoje ludzi: mały, słaby, zgarniony mężczyzna a za nim młoda kobieta — szukało na wybrzeżu topiel-ca. W jakiejś głuchej, zdre-twiełej, poszukującej się mi-łości — szukali zmarłego.

I znaleźli go, daleko, bar-dzo daleko, tam — dokąd gnał go prąd do chwili, gdy prąd przeclwiny rzucił nim o brzeg. Ta sama milcząca mi-łość bez dźwięku, najmniejszej skargi — kazała spot-kać się ich rękami w chwili gdy kładli znalezionego na zwykłą taćkę, a potem cią-gnęli ją na zmiętą wiozówkę go tak długą drogą. Ostatnią drogą przez miękkie piachy, w który coraz głębiej zapad-ło się koło i żalostnie skrzypiało, skrzypiało pod ciężkim, martwym ładun-kiem...

Taki był romans w krai-nie wydm. Skończył się jak wiele innych — zaślubinami. Ludzie dużo wprawdzie ga-dali o tym, jakie to „żiwie”, że Sara zechciała starego po-zaczynać z jego trzema synami...

Ale ludzie z tych wydm — i wielu skądinąd — myśla-li i gadają zazwyczaj tak, jak gdyby istniał jeden tylko rodzaj miłości. A jest ich przecież tak wiele!

Tłum. **SERGIUSZ JASKIEWICZ**

EDWARD ETLER

Śladem „cyganów”

Cyganów odkryto niedawno. Kamera filmowa pp. Hoffmana i Skórzewskiego myskowała w tym celu na wysokości Jubałówki i po krętej ścieżce Krupówek, a latem zapewne uda się do Jastarni, jeśli trop cyganów nie pociągnie tym razem gdzieś indziej, albowiem moda cygańska jest zmienna, a akt denuncjacji kłopotliwy.

Lada dzień cyganie odkryci zostaną po raz wtóry. Tym razem z bębniem w kotły i dębem w trąby dociekań socjologicznych. Podobnie odkrywano w latach czterdziestych którychś egzotyka postać bikiniarza, i podobnie chuliganów, którzy narodził się znacznie później, dla dobra literatury („Zły” — Leopolda Tyrmanda), filmu („Lunacy” — Bohdana Poręby) i publicystyki (Manturzewski). O cyganach pisała dotąd jedynie „Współczesność”, sprawując jednak problem do fałszywego mianownika. Bo cygan na łamach „Współczesności” — to przedstawiciel młodego pokolenia. A to przede wszystkim nie jest prawda. Cyganów łączy bowiem wspólna cecha: cyganie nie mają wieku. To znaczy, że można być cyganem mając lat dziewiętnaście (łatwiej cyganką...) i można być cyganem dobiegając pięćdziesiątki, co dla niektórych przedstawicieli sfer kupiecko-handlowych jest zjawiskiem pociesającym.

Termin „cygan” — wyprawa się z pojęcia „koczowniczość”. Zima i wiosna wiosną cyganie koczują w Zakopanem. Zamożniejsi rozbijają namioty w ekskluzywnych pensjonatach. Ubożsi mieszczą się w górach. Ich rozrywki zostały już zgrabnie, acz migawkowo ukazane we wspomnianym na wstępie i niedocenionym przez krytykę filmiku dokumentalnym pt. „Początki z Zakopanego”. Zajmijmy się zatem pojęciem podstawowym: podziałem grupy cygańskiej na sfery towarzyskie i prawnymi, które rządzą w cygańskim środowisku.

Żeby zostać przyjętym w poczet cygańskiego klanu — trzeba oczywiście legitymować się pewnym kapitałem. Kapitałem młodych cyganów jest przede wszystkim ich wiek, charakterystyczna dla tegoż wieku bez troski i szerokie znajomości w kręgu „babek”. Natomiast kapitałem dojrzałego cygana, częstokroć sumiennego ojca rodziny — są w głównej mierze środki finansowe, którymi rozporządza, i które zamierza przeznaczyć na wspólną, ra-

dosną rozrywkę. Stąd jedynie krok do długotrwałych przyjaźni dwóch pokoleń i krok do powstania konglomeratu, którego użyteczność doceniana jest przez obie zainteresowane strony.

Częstokroć też więzi, łącząca grupę cygańską, jest najwykleszy cęd do motoryzacji. Młodzi cyganie barczą sobie chwałę jakoś po jazdów, posiadanych przez przewodnika lub przewodniczkę stada, i jest to problem, którego lekceważyć nie należy.

Inna więź, łącząca grupę cygańską, ma charakter nieco bardziej skomplikowany i wiąże się w prostej linii z pojęciem szczególnego snobizmu, ulegającego zresztą okresowym przekształceniom, zgodnie z kanonami obowiązującej mody. W ubiegłym sezonie panowała na przykład anachroniczna zjawka by się modą na... arystokrację. I tak grupa cygańska wbrew logice tu i ówdzie zespala się wokół zubożonego najczęściej przedstawiciela dużego rodu, wysuwając jego osobę przy jakiegokolwiek prezentacji na zewnątrz. Nie znaczy to jednak, że w gronie tej samej grupy przedstawicieli finansjery jest osobnikiem niepożądanym. Wręcz przeciwnie, cyganie są demokratami.

Cyganie prowadzą ożywione życie towarzyskie, przestrzegają jednak ogólnej, narzecznej zasady, jaką jest prawo niewyłamania się ze sfery. Najwyższa kasta cyganów nad wszystko inne przekłada sobie szanse wchłonięcia w swoje grono autentycznego dyplomaty. Będzie to najczęściej ktoś z podrzędniejszych pracowników jednej z licznych w stolicy ambasad, lub znudzony korespondent zagranicznego tygodnika, zwabiony szansą wyłowienia (dzięki cyganom) efektownej anegdoki „z miasta”.

Niższa kasta cygańska chwali sobie towarzysztwo sfer artystycznych. Aktor o popularnym nazwisku, grafik wystawiający swe prace za granicą, konferansjer „Zgaduj — Zgaduli” czy reżyser telewizyjny — zawsze mogą liczyć na przyjaźń i adorację cygana. Szczególnie w wypadku, gdy nie są goli jak święci turecy, względnie gdy otaczają się bracią cygańską w miejscach o charakterze reprezentatywnym.

O szczebel niżej jest mniej typowa i rzadziej spotykana kasta cygańska skupiona wokół któregoś ze znakomitszych sportowców, uczestnika olimpiady lub kulturysty.

Istnieją także aktywne szczyty cygańskie o składzie dość sporadycznym i okolicznościowym, względnie separatystycznym, czyli jednopokoleniowym. Pomiędzy jednak rozważania zbyt drobne i nieistotne przy oznaczaniu kształtu obyczajowego rzeczy. Zanotujmy jedynie stwierdzenie, że cyganie nigdy nie grupują się wokół ludzi nie posiadających cech jednoznacznie określonych.

Wspomniana już została mimochodem trasa, którą cyganie najchętniej pchają swe tabory. Trasa ta prowadzi prostą linią z Warszawy przez Kraków do niedalekiego stamtąd Zakopanego, by latem zdradzić góry na rzecz jednej z bardziej eksponowanych miejscowości nadmorskich — najczęściej ślad prowadzi do Jastarni.

Jastarnia, podobnie jak Zakopane, nie zostaje wybrana przypadkiem. Cyganie wybierając miejsce sposobne do popisu biorą pod uwagę charakterystyczne cechy pejzażu. Nieodzowna jest na przykład obecność lokalu rozrywkowego, tym wygodniejszego, gdy nie jest to lokal kategorii „s”. Jastarniany, przesyłany Dom Zdrojowy, spełnia zatem pokładane w nim nadzieje. Poza tym cyganie wybierają pejzaż mający na uwadze kwestię większego skupiska ludzkiego. Grupa cygańska nie może być osamotniona, ponieważ podstawą jej egzystencji jest wyróżnianie się z tłumu. Brak tłumu, w którym cyganie mogą błyszczeć — unicestwia sens istnienia grupy. Jest rzeczą oczywistą, iż szara masa czasowców jest dla cyganów — jako to — społecznością nad wyraz pożądaną.

Podobnie rozsądny kierownik ogrodu zoologicznego wyznacza dla barwonego pawia miejsce szare, nieefektywne, ocenione.

Nie wolno też lekceważyć innych, ubocznych względów, które w ostatecznym rachunku przemawiają za wyborem Jastarni, względnie pobliskiej Juraty. Cyganie doceniają istnienie promienady, która wdzianem umożliwia prezentację strojów, samochodów, lub, gdy mowa o młodszych braci cygańskich — skuterów. Pewną rolę spełnia też czynnik psychologiczny, fakt odseparowania od „kontynentu” własnym pasemkiem Helu. A u nasady półwyspu zaczyna się inny świat, wybrzeże opłotowane przez gatunek zleniawioną przez cygaństwo i wykpiwany. Symbolem tego gatunku jest Sopot — letnia siedziba leniwego właściciela komisu, hulaśliwego indywidualisty pracującego w pojedynkę, względnie prowadzącego przykładowy żywot w ramach usankcjonowanego stadła.

Na ulicach Warszawy, Krakowa, Jastarni i Zakopanego nasi cyganie wyróżniają się — przede wszystkim — strojem. Bo cyganie to „modni chłopcy” rysowani w „Przekroju” przez p. Barbare

Hoff, lub fotografowani przez Plewińskiego. Zresztą „Przekrój” stanowi ulubioną lekturę cygana, podstawę jego światopoglądu i koneserii literackiej.

Model „modnego chłopca” zaciera wśród braci cygańskiej cechy, które mogłyby posłużyć do określenia jej przynależności społecznej. Cygan student, nie różni się zewnętrznie od cygana komiwojżera, cygana ekspedient od cygana technika dentystycznego. Mowa tu zarówno o stroju, jak też o zewnętrznych objawach życia umysłowego. O ile jednak ujednolicenie stroju następuje częstokroć — w wypadku gdy chodzi o cygana uboższego — droga okrutnych upadków i wyrzeczeń, ujednolicenie życia umysłowego to proces nieomal mechaniczny. Rolę decydującą odgrywa tu moment jednakości rozrywki, praktykowanych przez grupę cygańską i fetyszizowanych.

Poza wszelkimi formami „ubawu”, który jest celem ostatecznym, znakomitą rolę w cementowaniu grupy odgrywa cygańskie życie erotyczne. Bo rzeczywistego cygana od dawna już nie interesuje przedstawianie sam na sam z przedstawicielem gci odmiennej. Prawdziwy cygan, to zwolennik zabaw i gier prowadzonych kolektywnie. Według teorii cygańskiej zespółowość upojnych harców to podstawa specyficznej perwersyjności, niemożliwej do znalezienia w banalnym teatrze. Stąd się biorą przesławne „balety”, których barwne opisy wędrują potem śladem cygańskich wędrowców.

Cyganie są tradycjonalistami. Niechętnie zmieniają lokale, nawyki i upodobania. Ich siedzibą w Warszawie jest np. Bristol, w Krakowie bary przy Hotelu Francuskim, w Zakopanem „Jedrus” lub „Poraj”, lokum uboższego cygana, żyjącego z pożyczek lub przeźornej zapobiegliwości.

Objawem cygańskiego tradycjonalizmu są także charakterystyczne obyczaje grupy. Wiadomo, że podstawowym zajęciem kilkorga cyganów jest zawsze szukanie „jelenia”, czyli fundatora. Od tego zawsze zawładają się cygańskie plany wakacyjne lub cygańskie plany wypadów. Jeleni może być przewodnikiem stadła, wówczas cyganie adorują go, przymilnie uśmiechają się słuchając anegdotek, które opowiada i usłudze wprowadzają go w arkana swych elitarnych rozrywek. Ba, to jeszcze nie koniec, cyganie „ustawiają” jeleniowi „babki”, stają się jego powiernikami i przyjaciółmi. O jeleniu posiadającym samochód mówi się w gwarze cygańskiej „jeleni w gablocie” i sielanka trwa. Tak długo, póki się jeleni nie skompromituje. Powody kompromitacji mogą być różne, zbyt nuda demonstracyjność fundowania, niewystarczające obyczaje towarzyskie lub przesadna chępliwość. Wtedy jeleni zostaje odstawiony i stado wyrusza na poszukiwanie następnego kandydata.

Streszczony wyżej cygański obyczaj pozostawia trwałe ślady w psychice jelenia i doprowadza do jelenich dramatów. Bo jeleni skompromitowany, to jeleni na cygańskim indeksie. Takiego jelenia żadne, nawet najuboższe stado, przynigdy nie zaadoptuje.

Spółeczność cygańska jest wielkością stałą. Jej troskliwie przestrzegana elitarność to zarazem obrona przed zbyt dużym rozpowszechnieniem cygańskiej metody życia. Jak długo cyganie znają się między sobą nawzajem, tak długo nie stanowią groźby dla przyjętych układów społecznych, a zbyt wielki rozwój cygaństwa w najbliższym czasie nam nie grozi. Można zatem obserwować braci cygańskich z przymrużeniem oka, jako jedną z form ratowania osobowości w obliczu jednostajności świata, samoochronę płaszcza mózgu w obliczu cybernetyki.

Obserwacja jest drogą rewanżu: oni nas obserwują także!



Danuta Mlewska (Gizela Mosca) i Mieczysław Vojt (Jerzy Rynan) Fot. G. Puclato

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

KURCZAK z FRYTKAMI

Kureczak z frytkami pojawił się na scenie w połowie drugiego aktu. William Gibson autor wystawionego na małym scenie Teatru Nowego melodramatu „Dwoje na huśtawce”, jest zręcznym technikiem, wie, kiedy widza trzeba zasmucić, a kiedy rozśmieszyć, wie również, że on i ona nie powinni położyć się do łóżka przed końcem aktu pierwszego i że centrala międzymiastowa — zwiastun złych nowin! — może odezwać się dopiero pod koniec aktu drugiego, kiedy to on i ona nie tylko położyli się do łóżka, ale także zdążyli już skonsolidować — symbol stabilizacji — kureczaka z frytkami.

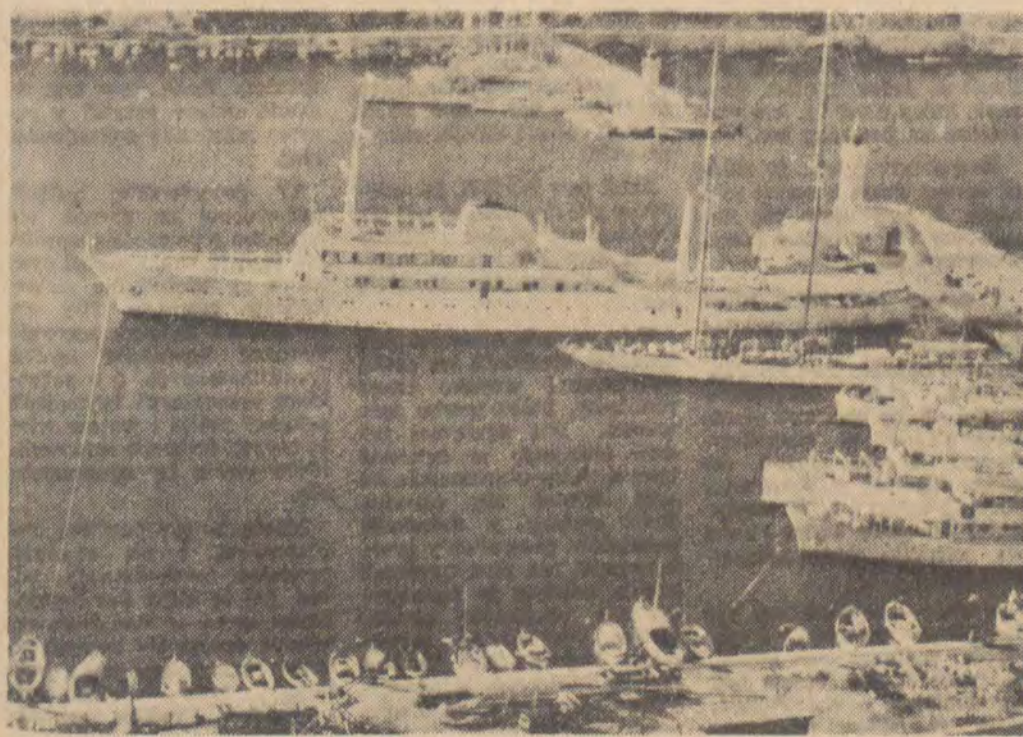
Kureczak z frytkami pojawił się więc na scenie w chwili stosownej i wywołal stosowne wrażenie. Gibson zdawał sobie jednak również sprawę z tego, że widza — współczesnego widza — nie kupi się dziś byle kureczakiem z frytkami czy byle melodramatem, złamane serca i umiętność dozwolania napięcia, to mało, widz pragnie, by ofiarowano mu problem. Niestety, pan, pani i centrala międzymiastowa, to jeszcze nie jest problem, pani kocha pana, a pan kocha swoją żonę, to także nie problem. Ale oto mamy i problem, pan jest wyobcowany. Jak do tego doszło, trudno powiedzieć, zawił prawdopodobnie niedobry teść, który pchał w pana i w jego była żonę, a swoją córkę, pieniądze i nie pozwolił panu stanąć na nogi o własnych siłach. Tak czy inaczej, pan jest wyobcowany i samotny, blaska się po ulicach wielkiego miasta i gryza go troski prawie egzystencjalne. Jeszcze chwila, a spadnie do poziomu beat generation i zamiast marynarki będzie nosił brudny sweter. Ale oto w życiu pana pojawia się pani i problem, jeśli tak rzecz można, znika. Jeśli tak rzecz można, bo właściwie wca- le się nie pojawia. Gibson słyszał co prawda coś o dezintegracji i wyobcowaniu jednostki — my jednak nie jesteśmy gorsi i też coś słyszeliśmy — i teraz usiłuje dać do zrozumienia widzowi, że ów problem rozważa. Ciągnie więc całą rzecz dalej, pan, mimo wszystko powraca do żony, bo w świecie dziewczyny również czuje się wyobcowany. Może myślenie przypuszczać, że i w świecie żony nadal będzie się czuł wyobcowany i nie przyszedłszy, może powrócić do dziewczyny, a może nie. Życie jest huśtawką, stwierdza założenie Gibsona. Nie wieciej nie ma nam na ten temat do powiedzenia, w gruncie rzeczy nie interesuje go problem wyobcowania, interesuje go natomiast problem kasy. Kasę robi melodramat, miłośnicy więc coś z melodramatu, kasę robi problem, miłośnicy więc i pozor problemu. Najbardziej kasowe jest wszakże nagłe życie, mamy więc u Gibsona również i owe nagłe życie, kureczaka z frytkami i miłość na przykładnym tapczanie, a wszystko to podpatrzone przez dziurkę od klucza i szeregowo opisane. Te rozmówki o frytkach i miłości, o cenach jada i miłości, o bólu brzucha i miłości, te rozmówki tak puste i blade, te aforyzmy, przepisane z książki kucharskiej albo z podręcznika konwersacji polsko-angielskiej to całe mięso, te bebecchy są

wszakże, proszę mi wierzyć, nie do strawienia. Nie dlatego, że są nudne. Dlatego, że są niesmaczne. Dlatego, że są sztuczne. Dlatego, że sztuka polega na konstruowaniu życia — choćby, jak to się dzieje u innych dramatów amerykańskich, Millera czy Williamsa, z elementów najbardziej wulgarnych i codziennych — a nie na spisywaniu z życia.

Gibson dysponował materiałem na bulwarowy melodramat i byłby uratowany, gdyby taki melodramat skonstruował. Chciał wszakże spisać z życia sztukę problemową. Stało się to, co stać się musiało. Kiedy pisarz nie ma nie do powiedzenia o życiu, zaczyna na temat życia moralizować. I tak powstała dydaktyczna opowiadka, mała apoteoza szczyścia w czterech ścianach, ideal, przepraszam za wyrażenie, czterech ścian w miłym tapczanie. Kilka myśli godnych powtórzenia w kawiarni lub w czasie kłótni z żoną, odrębna łanięgo przeobrażenia (miasta są wielkie a życie jest huśtawką) i odrobina łanię dydaktyki (tylko miłość może nas uratować), to się będzie podobać, to się musi podobać.

Konrada Łuszeńskiego, który sztukę Gibsona wyreżyserował, nie interesował — na szczęście — problem wyobcowania jednostki ze społeczeństwa. Potraktował rzecz tak, jak na to zasługiwała: chciał pokazać widzowi sytuację ludzką, której — wbrew sobie — uwikłali się w głupi melodramat. Niestety, nagłe życie ziewało ze sceny, tego nie można było uniknąć. A bebecchy, jak powiedziałby Witkacy, są jednak, powtarzam, trudne do strawienia. Rzecz można więc było nieco staranniej określić, można jej też było nadać nieco szybsze tempo, można jej było również nie wystawiać.

Jeśli cokolwiek usprawiedliwia ten spektakl, to tylko akty. Danuta Mlewska zakochała tym razem jedną ze swoich najlepszych ról. Nie była — nie jest to zarzut — tancereczka, grała zwykłą dziewczynę, może urzędniczkę, bardzo po prostu samotną, poddaną terrorowi wielkiego miasta i nieświadomą tego terrozu. Mieczysław Vojt jest jednym z tych niewiele aktorów (myślę, że chyba jednym w naszym mieście), którzy potrafią zafascynować widza, leżąc do ziemi i mrużąc oczy. Czym — ostrzegam! — łatwo wywołać żywiołową niewiód ludzi, trudniących się zawodowo pisaniem złych sztuk teatralnych. Vojt bowiem zbyt często musi grywać — wbrew autorowi, albo, co gorsze, obok autora, i tym razem nie grał w Gibsonie, grał w jakiejś innej sztuce, w której rzeczywistość była mowa o wyobcowaniu jednostki, o dezintegracji społeczeństwa, o próżni, która jest w nas i poza nami, o sytuacji człowieka w owym straszliwym mieście kamiennych tuneli, gdzie zapalają się i gasną nie-



Marzenie „cygana” czyli jacht Onasisa na przystani w Monte Carlo

odpisy str.

MARIAN PIECHAL

SEDNO
RZECZY

AKTOR i ARTYSTA

W potocznej rozmowie ludzie często mylą te dwa pojęcia, biorąc jedno za drugie, uważając je za to samo czyli za synonimy. Tymczasem aktor, to wcale nie to samo co artysta. Aktor jest pojęciem szerszym, niż artysta. Artysta działa, że tak powiem, tylko na zasadzie talentu i zazwyczaj w ograniczonej sferze sztuki, aktor zaś, to w dosłownym znaczeniu (z łaciny) działacz, inspirator, animator i imitator na wszystkich polach działalności ludzkiej, a więc także i na polu sztuki we wszelkich jej możliwych odmianach i rodzajach. W każdym artyście kryje się aktor, ale nie każdy aktor jest artystą. Aktorem zostaje się często z przypadku, artystą tylko w wyniku odkrycia i cierpliwej uprawy w sobie talentu. Na przykład wielkim aktorem (czyli działaczem, inspiratorem i animatorem) Rewolucji Francuskiej w 1789 roku był Robespierre, ale czy był artystą? Uśmiełby się, gdyby go kto tak nazwał. A jednak czasem dla podkreślenia wysokiej klasy aktorstwa podnosi się je do rangi artyzmu i wtedy się mówi, że — dajmy na to — Talleyrand był artystą dyplomacji. W tym też znaczeniu niektórych wybitniejszych aktorów teatralnych, śpiewaków i wirtuozów, a nawet tancerzy, nazywamy słusznie artystami.

Ale jak jest w istocie? Kto właściwie jest artystą, a kto tylko aktorem? I na czym polega różnica między jednym a drugim? I jak odzielić aktorstwo od artyzmu, zmieszane najczęściej ze sobą w jednej osobie? I czy jest wyraźna granica między jednym a drugim? Jest. Owszem! Aktorstwo pochodzi — wiadomo — od

skuje rangę współtwórcy z autorem czyli artyzmu. Wtedy aktor staje się artystą. Zdarza się jednak, że aktor imituje tak nieudolnie, że wypacza pomysły twórcy: zamiast uwidatniać jego zalety, obnaża jego wady, w miejsce świadomego wzoru daje bezwiedną i mimowolną jego karykaturę. Słowo „aktor” nabiera wtedy znaczenia pejoratywnego, zaś „aktorstwo” staje się synonimem błagierstwa i kabotynizmu.

Dlatego słowo „aktor” ma bardzo szerokie zastosowanie i nie zawsze kojarzy się z pojęciem tzw. talentu. Raczej z pojęciem sprytu. I zmysłem przystosowania. Do różnych sytuacji i różnych ról w tych sytuacjach, czego absolutnie nie można powiedzieć o artyście. Artysta tym się diametralnie różni od aktora, że absolutnie nie może być nigdy i nigdzie nikim innym, tylko sobą. Absolutna niemożność wyjścia „za siebie” jest właśnie cechą artysty. Także artysty w aktorze. Dlatego aktor gotów jest zagrać każdą rolę, zaś artysta tylko taką, jaka leży w jego tzw. skali możliwości — ale za to jak!!! To „jak” jest właśnie ostatecznym miernikiem artyzmu w aktorstwie i przesądza o tym, czy aktor jest artystą. Bo — jak powiedziałem na początku — nawet śpiewak, wirtuoz i tancerz mogą być artystami, mimo, że ich dziedziny ze względu na charakter ich sprawności (gardła, palców czy nóg) przynależą raczej do sportu niż do sztuki. Artystami właściwymi są tutaj kompozytorzy i choreografowie, ale wytrębowana biegłość odtwórcza śpiewaków, wirtuozów i tancerzy może być doprowadzona do takiej perfekcji, że nada ich imitacjom walor samostnej wartości artystycznej, bez której pierwowzory byłyby mniej wyraziste czy pełne. W takich wypadkach godzi się ich sportowe finanse nazwać artystem, a ich artystami.

W powszechnym odczuciu artyzm to wyższy stopień aktorstwa. I słusznie. Bo w każdym artyście jest coś z aktora czyli naśladowcy, zaś w aktorze niekoniecznie musi być artysta. Wystarczy, jeśli jest dobrym odtwórcą, to znaczy sumiennym imitator. Inna sprawa, to artysty, które jest odpowiednikiem „aktorstwa” w znaczeniu pejoratywnym czyli udawaniem artyzmu. Udawanie artyzmu to piękństwo. Wiemy, że prawdziwy artysta, to odtwarzanie i pomnażanie wizji świata w całej jego złożoności, świata, który nie jest ani piękny, ani brzydki (a może i piękny i brzydki), tylko sensowny. Ujawnianie tego sensu to zadanie sztuki, której narzędziem jest artyzm.

Istnieje powiedzenie Arystotelesa, że wszelka sztuka jest naśladowaniem natury: omnis ars naturae imitatio est. Ale naśladować naturę można różnie, a przede wszystkim w czym? W tym, że ona nieustannie tworzy, to znaczy kreuje wciąż nowe formy. Nie w tym, że odtwarza stare, ale że tworzy nowe! Ze tak właśnie należy rozumieć to powiedzenie, świadczy drugi dopełniający je aforyzm Arystotelesa: ars aemulatio naturae, co znaczy, że sztuka jest współzawodniczką natury.

Oto na czym polega różnica między aktorem, który imituje, i artystą, który tworzy.



KAZIMIERZ ZYGMUND

„LEGENDA SĘDZIEJOWICKA”

Na próżno szukalibyście Sędziejowic w Małej Encyklopedii Powszechnej. Autorzy tego cieżkiego dzieła nie uznali za stosowne zamieścić choćby maleńkiej wzmianki o historycznej bądź co bądź miejscowości. Danych z dawnych lat należy więc szukać w pośłożonych kronikach, albo wśród ludzi, którzy zachowali jeszcze w pamięci ważniejsze wydarzenia z dziejów Sędziejowic.

Wybrałem tę drugą możliwość. Moim cicerone po historycznych Sędziejowicach został pewien spotkany na drodze mieszkaniec tej wsi. Wykazał on znajomość Sędziejowic godną rutynowanego profesora historii — ze specjalnością dotyczącą Powstania Styczniowego.

Po dokładnym opisanii bitwy, którą stoczyli tu w 1863 roku powstańcy z carskim wojskiem — nagle oznajmił, że jest zbieraczem legend i wielkim miłośnikiem zabytków, i jeżeli mam ochotę, może mi służyć za przewodnika. Na pierwszy ogień zaproponował obejrzenie starego zabytkowego spichrza. Oczywiście, pojechałszy tam. Te stare budowle, często zaniedbane, nadają osobliwego uroku krajobrazowi. Spichrz sędziejowicki nie jest w tej regule wyjątkiem. Warto pojechać tam, spichrz daje okazję do skonfrontowania przeszłości z teraźniejszością.

Zbacając z utartego szlaku wjechaliśmy w wiejską drogę. I oto nieoczekiwanie, już niedaleko celu, samochód ugrzązł w błocie. Oczywiście, trzeba było użyć do pomocy koni, z czego też można wynieść rozmaite wnioski.

Mimo tej przeszkody stary spichrz został w końcu zdobyty.

Chociaż w Encyklopedii nie wzmiankowano o Sędziejowicach, to przecież do tej pory zawsze one były znane jako miejscowość o znaczeniu historycznym. Dopiero od niedawna, bo może od niespełna roku, zaczęło się mówić inaczej.

W interpretacji mojego rozmówcy nazywa się ten rozdział w życiu mieszkańców gromady — współczesną legendą sędziejowicką. Legendą ta w reporterskich notatkach przedstawia się następująco:

Sędziejowice, 6 marca 1961 roku. Jest pogodnie przedpołudnie. W centrum wsi, przy skrzyżowaniu dróg, trwają prace przy budowie stacji benzynowej. Przed chwilą wyładowano cysterny, które niebawem ulokowane zostaną w ziemi. 15 kwietnia stacja benzynowa zostanie oddana do użytku. Skończy się wyprawy po paliwo i smary do miasta powiatowego.

Na krańcu wsi, niedaleko zabytkowego kościoła, robotnicy kładą fundamenty pod budynek, w którym będzie mieściła się tak zwana agromówka. Ostateczny termin objęcia we władanie gotowej placówki agromon gromadki, Józef Rusiniak, zapowiada na 22 lipca b. r.

Sobiepany — to wieś wchodząca w skład gromady Sędziejowice. Liczy 54 gospodarstwa. Kółko rolnicze zrzesza 24 członków. Jeszcze w ubiegłym roku jesienią, zakupiono jeden zestaw maszyn, który niestety, nie wystarczy na potrzeby wsi.

Nawet laik pozna, że chłopci bardzo dbają o sprzęt rolniczy. Z pewnością nie nie zaskoczy ich w czasie robót wiosennych.

7 marca 1961 roku. Wieś Kozub. Ten dzień z pewnością będzie pamiętny — zakupiono bowiem dwa zestawy maszyn, które całkowicie wystarczą, by wykonać prace mechaniczne w gospodarstwach. Trzeba dodać, że kółko rolnicze w Kozubach liczy 22 członków. W niedalekiej Lichawie kółko rolnicze zakupiło dwa zestawy maszyn.

A więc — tu dwa, tam jeden zestaw maszyn — i tak można wliczać bez końca. Bo przecież nie jeszcze nie wspominałem o wsi Podule, gdzie w kółku rolniczym znajduje się 32 członków i

liczba ta z tygodnia na tydzień się zmienia, obejmując już 70 gospodarstw wiejskich. A skoro mowa o Podulach — to nie można pominąć faktu, z którego cieszą się mieszkańcy wsi. Oto dzięki inicjatywie członków kółka — wybudowano z własnych funduszy Dom Ludowy.

Wieś Przemilów zachowała w pamięci datę 8 marca. Tego bowiem dnia zakupiono w Łasku i sprowadzono do wsi pierwszy zestaw maszyn rolniczych. Do tej pory poważne rezultaty uzyskano w zakresie melioracji łąk. Efekt? — wzrost pogłowia bydła. Wobec tego postanowiono w przyszłości zmniejszyć wszystkie gospodarstwa.

I znów parę liczb. Sędziejowice — wieś licząca 107 gospodarstw. W kółku rolniczym skupiło się 37 rolników wraz z rodzinami. Dwa zestawy maszyn, gotowe do podjęcia prac, stoją pod dachem. W najbliższym czasie przewiduje się zakupienie dalszych maszyn... itd. itd.

Chyba starczy wylizania. Obawiam się, że liczb będzie za dużo. Na tym więc kończę, bo musiałbym wymienić wszystkie 11 wsi, należących do gromady Sędziejowice. Przecież we wszystkich wsiach coś się dzieje, coś się zmienia.

Fakt jest faktem, że wiosenny miesiąc marzec jest dla Sędziejowic punktem zwrotnym. Mechanizacja wkroczyła nieodwracalnie w życie wsi.

Zgrupowanie nowoczesnych środków produkcji na małej powierzchni stwarza nowe problemy, które trzeba rozwiązać. Nie wystarczy już dziś szkolenie w zakresie upraw, które w gromadzie na ogół dobrze się rozwija. Cykl złożony z dziesięciu wykładów, prowadzony przez agronoma (on sam ukończył szkołę rolniczą w Sędziejowicach), obejmuje: nasienie, ogrodnictwo, łaskarstwo, hodowlę itd. Trzeba myśleć nowym szkoleniu, a mianowicie o szkoleniu mechaników i traktorzystów. A jak wykazały ostatnie eg-

zaminy, sporo osób nie opanowało przedmiotu i z tych względów nie otrzymali prawa jazdy. Być może, że egzaminatorzy podeszli do uczniów zbyt formalnie, ale z drugiej strony nie sposób dawać upoważnienia na prowadzenie pojazdów mechanicznych osobom, które nie opanowały odpowiednich przepisów drogowych. A o wypadek później nie trudno.

Tak więc mechanizacja gromady Sędziejowice przyniosła ze sobą nowe, nieznane przed tym problemy, spośród których na pierwsze miejsce wysuwają się: budowa garaży na sprzęt rolniczy i warsztatów naprawczych oraz budowa dróg.

Te właśnie postulaty znalazły swoje miejsce w programie wyborczym gromadzkiej Rady Narodowej w Sędziejowicach obok szeroko pomyślanego programu prac w dziedzinie melioracji, klasyfikacji pól, doprowadzenia światła do wszystkich zagrod wiejskich, zbudowania czterech zlewni mleka i szkoły tysiąclecia. (Do tej pory bowiem ponad 300 dzieci uczy się w prymitywnych warunkach w szkole, która, bez przesady, podparta jest patykami). Myślę, że w tym zakresie należy przyjąć z pomocą młodzieży sędziejowickiej.

W reporterskiej relacji, uchwycionej na gorąco, nie zdołałem z pewnością wymienić jeszcze wielu problemów, które są istotne dla mieszkańców gromady. Nic nie mówię o świetnie zorganizowanej wymianie nasion kwalifikowanych, o z pożytkiem pracujących brigadach ochrony roślin i jeszcze wielu innych ważnych sprawach, które warto by upowszechnić.

Myślę, że nie bardziej nie przemawia i nie ukazuje przemian zachodzących na wsi, jak te kilka dni marca, które wraz z nadchodzącą wiosną przyniosły zapowiedź lepszego, i z pewnością bogatszego życia. A które mój przygodny cicerone nazwał współczesną legendą Sędziejowic.



aktora, zaś aktor od aktywizacji czyli ożywienia, wprawienia w ruch. Czego? Akcji. Lecz akcja musi być akcją daną. Przez kogo? Przez artystę. Bo artysta, to jest właśnie ten co stwarza. Co? Akcję. Zę aktor ożywia tę akcję. Jednym słowem artysta stwarza akcję czyli postać w działaniu, zaś aktor ją imituje. Zdarza się często, że ten, co daje akcję, potrafi ją również realizować. Mamy wtedy do czynienia w jednej osobie z artystą i aktorem, jak to było w przypadku Szekspira, a zwłaszcza Molière.

Różnica tedy między aktorem i artystą ugruntowana jest na różnicy między twórstwem a imitacją czy naśladownictwem. Ale nie tylko. Bo gdyby aktorstwo polegało tylko na imitacji, czymże by aktor różnił się — excusez le mot! — od małpy? Naśladownictwo może być mniej lub bardziej udane, może być bezduszne, a może być też tak wyczułe i z takim wkładem własnej inicjatywy i pomysłu dokonane, że z-

str. **odpłosu**

LEOPOLD
BECK

Z okazji 15-lecia Operetki Łódzkiej

mowa wygłoszona na akademii, która się nie odbyła

Piętnastolecie (marzec 1945 — kwiecień 1961) najpopularniejszego w Łodzi teatru — Operetki — dawałoby świetną okazję do popisu za pomocą statystyki. Bądź co bądź kilka milionów widzów przewinęło się w tym czasie przez salę przy ulicy Piotrkowskiej 243, odbyło się kilkadziesiąt premier i 5.000 przedstawień.

Zaczniemy jednak pytaniem, ile lat ma operetka — dość nietaktownym, bo dotyczącym przecież istoty, sygnalizującym wiecześnie młodocę. Owszem, nikt nie zaprzecza, że robi to z wdziękiem, tak że do grona jej wielbicieli przylągają się coraz to nowi. Jednak pewni znawcy mówią, że ujmujący wygląd, piękny taniec i śpiew mylą nas tylko, że ta szykowna osobka, mimo swojego młodego wyglądu, w rzeczywistości jest starą babą.

Starą? Czy należy jej lata liczyć począwszy od angielskiej śpiewogry, powstałej mniej więcej w połowie siedemnastego wieku — od pierwszej „małej” opery jako parodii wielkiej, czy też powinno się przesunąć datę urodzenia operetki o dwa wieki na przód i latka jej liczyć od czasu tryumfów Offenbacha?

Wszystko zależy od tego, o co właściwie chodzi? O gatunek czy też o poszczególny tytuł? Gdy chcemy obliczyć wiek jakiejś naszej znajomej, nie zaczynamy przecież ani od momentu jej urodzenia, ani od daty urodzin pierwszej autentycznej prababki naszej znajomej pani. Niestety, wspomniani znawcy właśnie tak postępują, wymawiając każdej operetce z osobna wiek całego gatunku. Ale nawet gdyby tak nie czynili i rozpatrywali każdą operetkę oddzielnie, znaleźliby również dowody na to, że w jednym przypadku mamy zaszczepić z osobą w wieku co najmniej pobałkowskim, w drugim z matroną, a w trzecim z rówieśniczką naszych dziadków. Tak, Saffi z Barona Cyganki urodziła się w roku 1885, ma więc już 76 lat, Rozalinda z Nietoperza jest o jedenaście lat starsza, Wesoła Wdówka kończy w grudniu bieżącego roku swoje 56 lat. Księżniczka Helenie z Czaru Walca brak tylko dwóch lat do wieku Wdówki. Oczywiście, że są i starsze, bo niektórzy Offenbachowski pamiom stuknęli już setka. Ale są i młode. Na przykład Tanja z Balu w Savoy'u ma dopiero 29 lat.

Nie w tym rzecz, kiedy jakaś operetka została napisana. 29-letnia Tangolita jest dla nas starsza niż 97-letnia Offenbachowska Helena. Decyduje nie bezwzględna ilość lat, lecz odległość, która dzieli poszczególne operetki od współczesności.

Miarą tej odległości nie jest czas. I w roku 1961 można napisać i, co gorsze, wystawić, operetkową starzyznę, taką, która zapewne rozzłościłaby naszych dziadków, ale nas ani grzeje ani ziębi. Po prostu nie odpowiada naszym — świadomym czy podświadomym — wymagom, nawet w charakterze rozrywki muzycznej. I dlatego operetka stuletnia może być młodszą od napisanej dziś — o ile nam jeszcze przypada do gustu muzyka i egzemplarz trafi do rąk realizatorów z prawdziwego i, jeżeli wolno tak powiedzieć, dzisiejszego zdarzenia.

Znawcy, o których ciągle mowa, są innego zdania. Na starość, powiadają, nie ma żadnej inscenizatorskiej rady. Musi się narodzić coś nowego. Co? Odpowiedź na to pytanie jest dość zawila, ale spróbujemy ją znaleźć.

W pewnej dyskusji na temat choroby starości, na którą pono cierpi operetka (i opera), jeden z dyskutantów,

powołując się na współczesnego niemieckiego autora, tak z jego pomocą zgłębiał problem:

Operetka (i opera) musi artystycznie przewyciężyć pewną zasadniczą sprzeczność. Wynika ona stąd, że w podobnych sytuacjach, jakie widzimy na scenie muzycznej, ludzie w rzeczywistości mówią, a nie śpiewają. Teatr muzyczny rozwiązał tę sprzeczność po pierwsze — ten sposób — powiedział ów dyskutant, — że kompozytor nakładał na dzieje sceniczne gęstą a piękną zastonę muzyczną, tak że wcale nie było ważne, co się za tą zastoną działo. Po drugie, umieszczał akcję w czasach mitologicznych lub bardzo odległych, antycznych. W mitologii i w starożytności można sobie dziś dowolnie hasać. Tam wszystko jest możliwe, jak we śnie, — w którym każdy absurd ma walory realności. Trzeci sposób rozwiązania wspomnianej sprzeczności polegał na przyjęciu przez libretta konwencji satyry, parodii, farsy. Wtedy również wszystko staje się możliwe, nawet zakomunikowanie śpiewem, że „zab mnie — ach! — strasznie bo-o-o!”, jak i natychmiastowe odezwanie się chóru: „Za-a-iste! Bolil Bolil!”.

Wszystkie sposoby rozwiązania zasadniczej sprzeczności tkwiącej w sztukach teatru muzycznego utrwaliły się w postaci znanej manery operetkowej, zarówno autorskiej jak i aktorskiej, utrwaliły się jako szablon pisania, wystawiania i grania operetki. Do tego dochodzi, tak sądzą, jeszcze jedna sprzeczność, przy obecnym repertuarze — nie do rozwiązania. Libretta tego repertuaru, za wyjątkiem po Offenbachowsku satyrycznych, puszczają w obieg fałszywe monety. Zamiast odbicia dnia dzisiejszego, prezentują one całe repertorium snów o wyższych sferach arystokratycznych i mieszczańskich. Inaczej mówiąc — dla dzisiejszego widza świat operetkowych sytuacji, wzruszeń, grzeszków i dowcipów nie jest już do przyjęcia. Zachowała się więc — tak brzmi teza — w dzisiejszym świecie przedwojenną sceną muzyczną, Renesans operetki — oświadczają wobec tego specje — nastąpi, gdy w obrębie gatunku powstanie nowy rodzaj, spełniający wymogi współczesnego widza. Uważając siebie samych za reprezentację dzisiejszej widowni, odnowicielem sceny muzycznej tak mniej więcej formułują swoje żądania:

Operetka dnia dzisiejszego, powiadają, musi pokazać dzień dzisiejszy. W jej krzywym zwierciadle powinny się odbijać nasze własne twarze i sprawy z tej ziemi, a nie z arystokratycznych i wielkoburżuazyjnych zaświatów. Realistyczna — w tym sensie — operetka powinna skończyć z dramatem muzycznym i stać się dramatem słowno-muzycznym, bez obowiązu zademonstrowania wielkich arii lub wyczynowych duetów, z piosenką jako głównym atutem muzycznym. Chór porzuci rolę akompaniatora lub echa solisty i stanie się znów komentatorem. Piosenka, chór i taniec istnieją na scenie tylko wtedy, kiedy ich pojawienie się wynika z logiki akcji. Oto jaka widnieje przed operetką droga, mówią reformatorzy.

I mają oczywiście swoją rację. Ale mają rację również tradycjonalisci, wskazując m. in. na to, że sprzeczność między życiem a sceną jest np. w balecie klasycznym jeszcze większa niż w „dramacie per musica”. Świat tego baletu — mówią ze swoimi wiecznymi attitude, arabesque, écarté i z postaciami,

które załatwiają miłosne zaloty poruszając się na pointach, jest w tej swojej zastylej manierze nie do przyjęcia już dla współczesnego widza. W dzisiejszym świecie zachował się więc również przedwojenny balet. Ale nikt go nie tępi, podczas gdy tradycyjną operetkę spalono by najchętniej na stosie. Ta — nieświadoma chyba — dwulicowość wynika raczej z wierności politycznej, obejmującej na ślepo również Ballets Russes, niż ze znawstwa rzeczy.

Tyle słów z libretta, które podyktowała historia sceny muzycznej w Łodzi.

Ale Łódź stawia sprawy nie aż tak ostro. Co robić, zapytuje, wobec braku nowych pozycji odpowiadających wymogom reformatorów operetki?

Co? Zastanawiać się raczej nad tym, jak grać, niż nad tym co grać. W ramach teorii o tradycyjnej operetce jako Bajce dla Dorosłych i Wielkiej Zabawie wszystkim jest możliwe (nawet śpiew zamiast prawdziwego bólu zęba) — byle tylko wykonane było z kunsztem, smakiem i znawstwem pięknego absurdu, którym była i pozostanie operetka.



SLYNNA ŁÓDZKA PARA AMANTÓW: JADWIGA KENDA JAKO HELENA I MICHAŁ SŁA-SKI JAKO PARYS W „PIĘKNEJ HELENI” (zdjęcie z 20. X. 1948 r.)



Władysław Szczawiński jako Gaspard w „Dzwonach z Corneville”. Jeden z gwiazdorów przedwojennej Operetki Warszawskiej, dyrektor Łódzkiego Teatru Muzycznego (Zdjęcie z 6 V. 1949)

Balet z „Tylko dla kobiet” Karasińskiego

Foto — „Studio”



JERZY WALEŃCZYK

Reportaże śliną wściekłości pisane

Jeżeli mówi się niekiedy, że reportaż jest szkołą literatury, to teza ta sprawdza się na przykładzie reportaży Andrzeja Brychta. Dowodzą one niebicie, że reportaż to też gatunek literacki. Pojawia się tu rygor epiki, obrazowanie, dialog, które jednocześnie reportaż z literaturą. Brycht miesza literaturę z publicystyką, wchodzi w rejon pokrewnego gatunku, opowiadania, znajduje tu elementy konstruktywne dla swojego reportażu. Ba, pojawia się porównanie poetyckie można je znaleźć np. w „Czerwonym węglu”.

Gdybyśmy szukali wyróżnika tych reportaży natrafilibyśmy na tkwiący w nich witalizm i bardzo osobisty stosunek do opisywanych zjawisk. Brycht lubi przeciwstawiać swoje doświadczenia życiowe, kopalni, wojako, tym, którzy się dają „pozując w miękkich muszlach redakcyjnych na intelektualizm”. Stąd wycieczki i dygresje w „Czerwonym węglu”. Np. „Nie do Francji jechać po pisarską wiedzę. Dół zobaczyć. Jeszcze raz zobaczyć dół”. Albo: „Teraz mi obojętny Miguel de Unamuno i solipsyzm, kwilenie taszystwowskich spe-rmoidów tu nie dotrze”. „albo: „Już trzy lata przeszły i moja ręka zmiekła w sto-łecznych grobowcach”.

Brycht wyraźnie pozuje na antyintelektualistę i z całości reportażu wylania się model bohatera, którego

Brycht gloryfikuje. Będzie to młody człowiek, który boksował i potrafi: „zapakować hak z prawej w wywalony ułebek, lewy sierp na pysk i pod flek”. Wszystko gwoździ sprawiedliwość, społeczność. Trzeba to mocno podkreślić. Brycht nie jest anarchista, ale wysoka temperatura reportażu raz po raz każe mu rozwiązywać konflikty społeczne w ten sposób.

Obszar tematyczny, który Brycht penetruje, to Śląsk i Łódź. W tonie znalazł się również głosny w 1958 roku reportaż pt. „Piotrkowska”, żywo wówczas dyskutowany. Dzisiaj po trzech latach uzyskujemy do tego reportażu nową perspektywę. To prawda, był „krwawą i śliną wściekłości pisany”. Mimo liczne niesprawiedliwości. Obraz Łodzi był w tym reportażu przesadnie czarny. Autor napisał ostry pamflet na miasto i jego mieszkańców. Ze szczególną zaciętością zaatakował centralną promenadę — Piotrkowską — „na Piotrkowskiej zaczyna się śmierć”. Zdradził przy tym doskonałą znajomość łódzkiej ulicy i kawiarni wraz z ich zawartością. Jest to znajomość osobista faktów i ludzi i ona pomogła Brychtowi do generalnej oceny ulicy. Ten sam radykalizm który cechuje pozostałe reportaże manifestuje się ostro w „Piotrkowskiej”. Grand-Café to „na rzy-

ci społeczeństwa cholerny waluciarzko — złodziejski wrzód. Ta Grand-Café przesycona smrodem starczych gnijących ciał, nabitych ciężką ukradzioną nam wszystkim monetą. Więc to jest centralny grobowiec miasta”. Brycht ujawnia doskonałą znajomość elementu kawiarnianego, prostytutek, gieldarzy, pederastów, umie znakomicie poselekcjonować te elementy, wie czym każda kawiarnia pachnie. „Uff, tu śmierdzą panie Nowak, ci drudzy mnie śmieją, ale na widok szuj ogarnia mnie płomień jakiegoś społecznego patriotyzmu o sadystycznym posmaku”. Właśnie. Brycht jak przystało na jednego z reprezentantów młodego gniewnego pokolenia rad by sam rozwiązywać problemy społeczne — i to pięścią. Brycht to młody, wściekły reportażysta, któremu obca jest chłoda, beznamiętna relacja, który staje wobec problemów społecznych, jak wobec przeciwnika na ringu bokserkim i chciałby zlikwidować je w pierwszej minucie walki przez KO.

Reportaże te nie mają — to dobrze — wspólnego modelu formalnego. Inaczej jest napisana „Piotrkowska”, inaczej „Proces umarłych”, wykorzystujący ze-znania oskarżonych i świadków w formie nawarstwiania się relacji, inaczej „Biedne stare dzieci”. Brycht widział dół kopalni i dół społeczny. Nieobca mu rzeczywistość wiezienna widziana od wewnątrz z autopsji, ta autentyczna, prawdziwa, której nie dostrzeże reportażysta bez doświadczeń Brychta. „Biedne stare dzieci” są tego dowodem. Znajomość psychologii młodego wieźnia pochodzi z autopsji. Stąd bogactwo materiału i klarowność zagadnień.

Brycht mimo poży na antyintelektualizm często uruchamia aparat intelektualisty gdzie potrzeba, ale nie on jest najważniejszy. Zasadniczą cechą Brychta jest znajomość ludzi i umiętność dotarcia do nich. Czy to będzie Tomaszczyk z „Czerwonego węgla” czy bohaterowie „Czerwonego Węgla” po fajrancie” czy Sarnawski z reportażu „O-saczony”. W tym ostatnim reportażu Brycht stoi na skrajnych pozycjach i sprawę Sarnawskiego ocenia wyjątkowo radykalnie. Wyraża jest tu ewolucja Brychta z pozycji niejako anarchizacyjnej — społecznikowskich do „rangli” reportażysty urzędowego. Ten reportaż jest realizacją zapowiedzi spotykanych wcześniej. Brycht solidaryzuje się z postanowieniami partii w stosunku do Sarnawskiego, ale w osobistym zaangażowaniu posuwa się do inwektyw i ocen, mówiąc łagodnie — niewybrednych. Te zabiegi reportażowe nazwał ironicznie obnażaniem delikwenta. Ale nie o potknięcia i przegięcia chodzi. Brycht jako reportażysta rysuje się wyraźnie, jest wysoce zindywidualizowany, nie brak mu pasji osobistej, jego reportaże są w sumie znakomicie napisane, niezależnie od prób wywalczania prawdy pięściami. I może w tym leży ich zaleta że nie mają wymierzonej precyzyjnie stałej temperatury.

Andrzej Brycht „Czerwony Węgiel” Instytut Wydawniczy PAX 1960.

odgłosy str. 9

TELEwizja

Obfity jadłospis świąteczny

Trzeba przyznać, że na święta telewizja wystąpiła ściągnąć do polski — stół był naprawdę obficie zastawiony, choć też i nie wszystkie potrawy były narówni strawnie. W każdym bądź razie było w czym wybierać. Przez trzy dni sześć filmów pełnometrażowych, Disneyland, Klub Myszki Miki, Teatr Telewizji, Estrada Literacka, audycja rozrywkowa „Co kto lubi”, świąteczne wydanie „Pegaza”, świąteczne „Tele-Echo”, dwie inscenizowane pozycje dla dzieci, teleturniej, „Kobra” i tak dalej i tak dalej — to chyba najzwyklejszy jadłospis.

Inna już sprawa, że filmy na przykład były nieświeższe, a najciekawsza na swój sposób pozycja — angielski film sensacyjny dla dzieci „Kradzione nie tuczy” — oglądaliśmy już uprzednio w odcinkach. Pierwszokwiatowa „Kobra” — zupełnie pudło, bez dowcipu i tego pomyślu, a była przecież wyjątkowa okazja do pokazowania z tej znacznej instytucji.

Do „Parady piosenkarzy” — mimo że zgromadziła w studio całą plejadę najbardziej znanych piosenkarzy warszawskich z Hanną Skarżanką, Kasią Jedrusik, Hanną Rek, Ireną Sanior, Stefanem Wittem i Jerzym Polonskim na czele — również można byłoby się przychylić za niezbyt

interesujący zestaw repertuarowy i mocno jednostajną inscenizację. Jednoaktówkę Fredry „Świeczka zgasła” na nasz gust popsuł operatorzy nadużywając zbliżeń i to konieczne na twarz aktorów, wreszcie komedie Roberta Merle „Wszyscy jesteście geniuszami” poważnie osłabiło nadanie jej dokładnie w dzień po filmie „Pieniądze to nie wszystko”.

W jednym i w drugim wypadku młody człowiek prasi o reżę przedstawicielkę „bardzo zwirowanej, artystycznej, rodzinnej” i choć zbliżony pomysł rozwija się w różnych kierunkach, ta zbieżność — raz.

Również i reżysersko komedia Merlego nie dała powodów do zachwytu, sytuację uratowała natomiast znakomita obsada aktorska z wybijającymi się rolami Wandy Łuczyckiej, Elżbiety Czyżewskiej, Andrzeja Szalawskiego i Zdzisława Leśniaka.

No i tak by wyglądały święta. Bez rarytasów, bez wydarzeń artystycznych, ale syte i dostatnie. Kto spędził w domu i gapił się na telewizor ten się przynajmniej nie nudził. Chyba dobrze, że tak.

Teatr Telewizji — plany na najbliższe miesiące

Kierownik działu literatury i dramatu Telewizji Polskiej Stanisław Marczak-Oborski udzielił prasie wywiadu na temat planów repertuarowych teatru telewizji i estrady literackiej na najbliższe miesiące. I tak 7 kwietnia nadana będzie premiera sztuki Władysława Smólskiego pt. „Podróż Don Kichota”, 16 kwietnia z Warszawy zobaczymy Estradę Poetycką, na którą złoży się 9 Sonetów Krymskich Mickiewicza w wykonaniu najwybitniejszych aktorów. Reżyseruje Andrzej Łapicki. 23 kwietnia również z Warszawy oglądać będziemy widowisko Adama Hanuszkiewicza w/g poematu J. Słowackiego „Beniowski”. 24 kwietnia inscenizacja „Balu manekinów” B. Jasieńskiego. Na maj zaplanowana jest adaptacja noweli Tadeusza Różewicza pt. „Najpiękniejsze miasto na świecie” z tomu „Przerwany egzamin”, a następnie inscenizacja noweli Sławomira Mrożka pod wspólnym tytułem „Opowieści wujka” w reżyserii Jerzego Gruzy. Również w maju TV War-

szawa nada „Sceny dramatyczne” Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Ludwika Renée. W czerwcu pokazana będzie adaptacja opowiadania Stanisława Wygodzkiego „Czarna sukienka” i „Romans prowincjonalny” Kornela Filipowicza w reżyserii Olgi Lipińskiej.

Ponadto z repertuaru wielkiej klasyki na ekranach TV zobaczymy dramat Goethego „Wilhelm Meister” z Gustawem Holoubkiem w roli głównej, a w reżyserii Stanisława Wohla. W czerwcu odbędzie się telewizyjna premiera „Anny Kareniny” Lwa Tolstoja z Niną Andrycz w roli tytułowej w reżyserii Adama Hanuszkiewicza.

Z cyklu najpiękniejsze sceny dramatu zaprezentowane będą fragmenty „Fausta” Goethego, „Króla Leara” Szekspira i „Wesela Figara” Beaumarchais. Latem tego roku pokazana będzie adaptacja „Szwejka” według Hasko.

Repertuar wcale bogaty ale jak by to podzielić na tygodnie nie będzie wcale za wiele.



Komentarz — czy potrzebny?

Dawnymi — jak na by prywatnie wiedzieli — krótkie dzieje telewizji — czasy, kiedy ośrodek łódzki przygotowywał adaptacje takich na przykład pozycji jak „Kolonizacja” Kafki, a telewizory posiadali nieliczni tylko szcześliwcy z prywatnej inicjatywy — przed spektaklem zabierał często głos jeden z łódzkich krytyków i mniej lub bardziej przystępnie objaśniał widzów, kto zacytował Kafkę i co się o jego twórczości da powiedzieć.

Z biegiem czasu dobry ten, jak na mój gust, zwyczaj — zanikł. Owszem, zdarza się, że przed archiwalnym filmem czy przed trudniejszym spektaklem teatralnym spiker odczytuje z karteczki kilkanaście objaśniających zdań, nie jest to wszakże regułą, a i sam komentarz nosi przeważnie łagodnie reklamowy charakter.

Zdaje się, że praktyka ta jest jednak błędna, i to błędna podwójnie. Nie mam wprawdzie zamiaru twierdzić, jakoby widzowie szczególnie uwielbiali czytany czy nawet mówiony komentarz, mimo to jednak — z zastrzeżeniem, że prelegent obok erudycki będzie odznaczał się jakąś oratorską swadą — radzi nie radzi wysłuchaj go i coś z tego przećwicz. Kultura odbioru widowiska teatralnego czy obrazu filmowego, podobnie wiedza z zakresu historii literatury, teatru i filmu — jest w społeczeństwie raczej niska i zdaje się bez większej obawy o powtarzanie rzeczy powszechnie znanych możemy mówić o twórczości Dürrenmatta i Garcii Lorci, ale również o Moliere, Eisensteinie czy Heine.

Gdy w wypadku filmu wprowadzenie takiego słowa wstępne będzie pożerało cenny czas, to szczególnie ostro — w moim przynajmniej odbiorze — brak komentarza występuje przy retransmisji spektakli teatralnych, w czasie których przerwy wykorzystuje się na podanie obsady, muzykę i ujęcia widowni, które prawdziwie mówią nie nikogo nie obchodzą. A tu już chyba o czas nie chodzi — prawda?

Wszelki komentarz, z jakim się w telewizji stykałem, nosił zazwyczaj charakter mniej lub więcej reklamowy, podobnie w wypadku artykułów pomieszczonych w teatralnych programach — żaden teatr nie przyzna się przecież publicznie, że oto właśnie występuje z premierą absolutnej „chwały”, choć

byłoby to panewce. Pokazujemy różne filmy — powiedziałaby nam średnio telewizja — dobre, słabe i całkiem złe, podobnie jak dzieje się to z programem kinowym. Mam odwagę ocenić je tak właśnie, jak na to zasługują, abyś ty, telewizor, nauczył się przy okazji bezbłędnie wytykać w filmie „puszczone” pomysły, wątki, wieszona w próżni, postać nakreślone niedbale i tak dalej i tak dalej.

O pracy reżysera i operatora, o aktorstwie i scenariuszu, konwencji westernu, technice robienia gagów, o tysiącach rzecznych dziedzin filmu — powiniemy mówić telewizja. Ona jedyna może w długofalowej akcji wychowawczej prawdziwie zbliżyć widza do filmu i do teatru, pokazać mu podszewkę roboty, dać do ręki rzetelne kryteria ocen.

I gdyby tak było, ciekawka konkurencyjna, zmieniłaby się — o dziwo — w ślepkę symbiozę. Czy to naprawdę tak zupełnie nie realne?

JERZY PANASEWICZ

Jubileusze, jubileusze

Swego czasu oglądaliśmy transmisję z jubileuszu Wiecha — była to wielka i — szczerze mówiąc — cokolwiek „chafowata” rewia wszystkich wybitniejszych nazwisk stoli-



cy. Naliczyliśmy ich ponad czterdzieści, może więcej...

Ostatnio widzieliśmy znów jubileusz Ludwika Sempolińskiego — mistrz wystąpił w „Zołnierzu królowej Madagaskaru” występując wspólnie z całą plejadą uczniów i uczennic. Roman Sztybelowski pochwalił w „Trybunie Ludu” te ostatnie, ale spektakl raczej objechał.

Retransmisji nie było. W najbliższym czasie czeka nas natomiast nowy jubileusz — 30-lecie pracy i 60-lecie życia Mieczysława Fogga.

Czy będzie retransmisja z Warszawy — nie wiemy. W każdym bądź razie telewizor wie w licznych listach prosi o występy obu jubilatów.

Kwitujemy odbiór

Szansa dla Ciebie

To było coś! Bo i temat niełatwy: sprawy mieszkaniowe dla młodych małżeństw i audycja dobrze zrobiona od strony wizualnej. Tym co ją oglądali przypominamy, że była nadana z Łodzi w programie ogólnopolskim, a przygotowana przez redakcję publicystyki młodzieżowej LOT.

Audycja nosiła tytuł „Szansa dla Ciebie”. Trudna to szansa. Bo mieszkaniowiec spółdzielca, a o takich mówiono przede wszystkim, sporo kosztuje nawet wtedy, gdy zakład pracy pokrywa część kosztów udziału. Potem trzeba płacić dość wysokie komorne, no i mimo tego, wszystkiego, trzeba jeszcze trochę, popracować na budowie oraz... czekać. Cierpliwie czekać.

Przyznacie, że nie jest łatwo rozmawiać z głodnym o przesunięciu terminu odbioru. Nie łatwo jest też publicznie omawiać naboja i pałac sprawę. W takiej sytuacji wyjście jest jedno: mówić prawdę. Prawdę bez osłonek. Jasno. Rzeczowo. To jedno może przemówić do ludzi, którym warunki wspólnoty mieszkaniowej odbierają chęć do życia i właśnie młodym małżeństwom pokazano i powiedziano tutaj całą prawdę, naparto ją wypowiedziały mi tych co już mieszkają i mieszkają będą.

Pisaliśmy „pokazano”. Nieczęsto zdarza się oglądać audycję łódzka tak rzetelnie przygotowaną od strony

Tele-radio przytaczki

Telewizja niezauważona

Sluszenie podoba się nam film pt. „Łódź miasto nieznane”. Cenimy go za rzetelną robotę przy gromadzeniu materiałów archiwalnych, za piękne zdjęcia naszego miasta i za sam pomysł. Są pokazywane w tym filmie różne osiągnięcia naszego miasta — nie ma tylko nie o telewizji. Być może nie uważa się jej za osiągnięcie. Gdyby to nawet było po części słusze

na dziś, to przecież telewizja ma przed sobą rozległe jutro, zaś w Łodzi działa już od trzech z górą lat i jest jakimś istotnym akcentem w życiu naszego miasta. Współautorem scenariusza filmu jest red. naczelny LOT, czyżby więc przez skromność pominięto, fakt posiadania w Łodzi największego i najnowocześniejszego studia telewizyjnego?

PROGRAM

na najbliższe dni

6.IV.61 — CZWARTEK

11.00 Program dla szkół: Język polski „Słowo o ziemi ojczystej” dla klas V i VI (W)
11.30 PRZERWA
16.55 Program dnia (L. lok.)
17.00 Program dla dzieci: 1) Zrobimy to sami, 2) W świetle fizyki (W)
17.30 „Z kamerą u przyjaciół ZSR” (W)
17.45 Program dla dzieci starszych: 1) Szymon Kobylński uczy rysować, 2) Guzik i petelka (W)
18.15 Polska Kronika Filmowa (W)
18.25 Młodzieżowy program publicystyczny (W)
18.55 Program przedwyborczy (L. lok.)
19.30 Dziennik telewizyjny (Warszawa)
20.00 „Nie tylko dla pań” magazyn (W)
20.35 Teatr „Kobra” „Zaczęło się w sobotę” widowisko sensacyjne Zygmun-

ta Zeydler-Zborowskiego (W)

7.IV.61 — PIĄTEK

16.55 Program dnia (L. lok.)
17.00 Film fab. prod. CSRS „Sen nocy letniej” (W)
18.15 Program publicystyczny (L. lok.)
18.30 Program PI „Dokumenty mówią prawdę” (W)
19.00 Wszelchnia TV „Zmysły, zmysły”... program z cyklu „Historie z tej ziemi” (W)
19.30 Dziennik telewizyjny (Warszawa)
20.00 Wszystkie dni tygodnia (L. lok.)
20.30 Teatr telewizji Poznańskiej „Podróż Don Kichota” - wg scenariusza Wł. Smólskiego (P)

8.IV.61 — SOBOTA

11.00 Program dla szkół: Botanika „Jak bawelna zwyciężyła len” dla kl. V (W)
11.30 PRZERWA
16.55 Program dnia (L. lok.)
17.00 Program tygodnia (W) ogólnopolski.
17.20 Program tygodnia (L. lok.)
17.30 Sprawozdanie piłkarskie Ruch — Wisła (K)
18.15 Film krótkometr. (L)
18.30 Miś z okienka (W)
18.45 „Listy od nas i do nas”

Młodzieżowy Program Rozrywkowy (W)
19.30 Dziennik telewizyjny (Warszawa)
20.00 „Pegaz” magazyn kulturalny z Łodzi (L. O) ogólnopolski.
20.30 „Gra przeciw śmierci” film fab. prod. franc. (tekst czytany W)
22.00 „Karnawał Warszawski” Wodewil wg Cyryla Daniłewskiego (W)

9.IV.61 — NIEDZIELA

Sprawozdanie sportowe (Warszawa)
13.10 Film fab. prod. francuskiej od lat 12 „Gdyby wszyscy ludzie dobrej woli” (W)
15.00 Niedzielnia Biesiada (W)
16.00 „Polska i świat współczesny” (W)
17.20 Polska Kronika Filmowa (W)
17.35 „20 minut z Aliną Janowską” (W)
18.10 „Mieszkańcy dalekiej północy” film z serii Disneyland (W)
19.00 Koncert amerykańskiego żeńskiego duetu fortepianowego. Grają: Josette i Yvette Roman (W)
19.30 Dziennik telewizyjny (Warszawa)
20.15 Film fab. prod. włoskiej „Pod niebem Sycylii” (czytany W)
21.55 Wiadomości sportowe (Warszawa)

wizualnej, gdzie obraz poprzedza akcję audycji. Przez te pół godziny ekran był miejscem nieustannego ruchu, zmieniali się ludzie, fotografie, plansze, dokrętki filmowe. Każdy kto taka audycję odbiera widzi, że

to dobry towar. Każdy kto ją przygotował wie, że to jest kolosalna robota. Ale takiej pracy telewizja wymaga. Tylko tak podana publicystyka w TV będzie strawną i do przyjęcia.

(aw)

Marian Piechal:
W najbliższym czasie uka-
że się w „Nowej Kulturze”
kilka moich nowych wiers-
zy. Niektóre nowe utwory
będzie również drukowała
„Twórczość”. Na warsztacie
mam wspomnienia z okresu
20-lecia, w których akcja
rozgrywa się w Łodzi. Wrót-
ce ukaże się wydany przez
Wydawnictwo Łódzkie tom
sątyr pt. „Matpy w kapieli”.
W najbliższej przyszłości bę-

Kilka dni temu ukazała się moja powieść historyczna „Romans królewski”, która była drukowana w odinkach w „Ogłosach”. Przypuszczam, że gdzieś za trzy tygodnie ukaże się, również w Wydawnictwie MON moja powieść o Łodzi pt. „Ucieczka z Ziemi Obiecanej”. Akcja tej powieści rozgrywa się w 1945 roku w nocy z 18 na 19 stycznia w momencie, kiedy ustępują wojska niemieckie a wkracza Armia Czerwona. Od dłuższego już czasu pracuję nad drugą powieścią o Łodzi. Będzie ona miała cha-

jeśli to można tak nazwać — nowelistycznym. Jej tytuł „Rodzina jednorozów”, Co do moich planów na przyszłość to mam zamiar zająć się tłumaczeniem ksałżki młodego pisarza radzieckiego Mikołaja Dementiewa pt. „Port rzeczny”. Chciałabym tak napisać powieść o Łodzi z lat 1946—48 mającej częściowo charakter autobiograficzny. W bardzo dalekiej przyszłości myślę o napisaniu powieści o Powstaniu Styczniowym i wydarzeniach popowstańowych na terenie Gallei

Rys. M. Mann

odqtosy str. **11**

ODGŁOSY

tygodnia

ALL RIGHTS RESERVED
WSZELKIE PRAWA ZASTĘP
ZONE
COPYRIGHT BY ODGŁOSY

PIĘKNE DZIEWCZĘTA NA ŁAMY „ODGŁOSÓW”



Fot. W. Jagielski



Jak donosi Lolo Rondel, specjalny wysłannik Kultuńskiej Agencji Informacyjnej jedna pani drugiej pani powiedziała, że: pani S. chodzi po mieście i obczekuje panią P. Przyczyna? Pani S. na maszynach firmy „Unitax” produkowała swetry. Właściwie nie w tym źródło gdyby owa pani S. we właściwym czasie poinformowała o swej inicjatywie Inspektorat Kontrolno-Rewizyjny na miasto Łódź. Ponieważ jednak tak nie uczyniła IKR sam się poinformował i zastosował w stosunku do p. S. odpowiednie sankcje.

Od tego momentu stołeczki spókoju pracowników tej społecznie ważnej instytucji został całkowicie zachwiany. Dlaczego? Po prostu w kółkach towarzyskich zbliżonych do salonów państwa Dulskich p. S. rozpuściła wiadomości że to nikt inny, ale niechciana jej od dłuższego czasu p. P. poinformowała rzeczoną instytucję o jej t. p. S. przemysłowej działalności. Kola te z właściwym dla swej sfery poczuciem sprawiedliwości zastosowały wobec p. P. ostry ostracyzm towarzyski. Ponieważ p. P. — skądinąd rzeczwiście Bogu ducha winna — poczuła się zniewoloną tymi insynuacjami ze strony p. S. zabrała więc z sobą całe towarzystwo do IKR na konfrontację. Niestety, przyszli wszyscy oprócz p. S. Pani S. dwukrotnie wzywana przez kierownika IKR na konfrontację wymigiwała się rzekomo chorobą. Równocześnie w tym czasie przesiadywała w „Honoratce”, o którym to fakcie także IKR poinformowany został określną drogą.

Pracownicy IKR wykazując wiele taktu, cierpliwości i wyrozumienia dla wyjaśnienia tego sporu stracili w końcu swój olimpijski spokój i za naszym pośrednictwem piszą p. S.: „Kobieto, nie znęcaj się nad bliźniemi”.

KRAWCOWE DLA... NIEBOSZCZYKÓW

Dwie nasze współobywatelki, krawcowe z zawodu — Jadwiga S. i Teodozja M. znalazły się chwilowo bez pracy. W tej sytuacji nie pozostało im nic innego, jak zgłosić się do instytucji zajmującej się pośrednictwem miejsc pracy, a mianowicie — Oddziału Pośrednictwa Pracy i Wzrostu mieszcącego się przy Al. Kościuszki 1.

Kiedy obie niewiasty stanęły przed obliczem urzędnicy i po przedstawieniu swych umiejętności poprosiły o skierowanie do jakiejś pracowni krawieckiej, w odpowiedzi usłyszały:

— Na razie nie mamy zapotrzebowania na krawcowe, ale możemy panie skierować do pracy przy... myciu nieboszczyków.

Po takim dictum należy się spodziewać, że bezrobotnemu kierowcy Miejskiego Przedsiębiorstwa Pogrzebowego sympatyczna urzędniczka z OPPW zaproponowałaby posadę pierwszego pilota statku kosmicznego na Księżycu.

KRASOMÓWCY

W Łodzi odbył się niedawno ogólnopolski konkurs krasomówczy studentów praw. Jak twierdzą znawcy, była to impreza na wysokim poziomie. Młodzi adepci Temidy wykazali się dobrym przygotowaniem, rzeczowymi argumentami i umiejętnością przemawiania.

Niemniej znalazło się „co nieco” również i dla „Od-głosów Tygodnia”. Oto niektóre, co celniejsze sformułowania mówców:

... pod maską skrucy fikcyjnej kryje się faktycznie ludzkie zwierzę, zwierzę żądne i łaknące krwi...

... życie jej, to jedna od początku do końca droga wy-boista, po której ciągnie wóz chłopskiej niedoli, na-ladowany ciężarem pokrzywdzenia...

... te przyczyny tkwią w środku oskarżonego Mosto-wicza...

... czasem sięgamy wzrokiem ku twarzy sprawcy; — pada na nią cień ofiary, cień śmiertelny...

... wkraczając interwencyjnie na niejednokrotnie spła-tane a czasem obłędne ścieżki czynów ludzkich, znaj-dujemy się wobec faktu najcięższej postaciowo zbrodni, zbrodni zabójstwa...

... w imieniu cienia ofiary Mostowicza, w imieniu dobra życia ludzkiego, które on obłędnym swym czyn-nem pogwałcił, żądam najwyższej kary...

... o jakżeż suche i lakoniczne to stwierdzenie do głę-bi przesiąknięte jest wódką...

Tak więc można wnioskować, że i z tej strony mło-dzi prawnicy dorównywali niektórym swoim dorosłym kolegom występującym w „normalnych” sądach.

Radio i telepajęczarze

W 1960 r. kontrolerzy łódzkiego Okręgu Poczty i Telekomunikacji zdemasko-wali na terenie naszego miasta 1.870 radio i 600 tele-pajęczarzy. Od początku zaś bieżącego roku aż do chwili obecnej ujawniono 354 nierejestrowane odbior-niki radiowe i 15 telewizor-ów.

Tok postępowania w ta-kich sprawach jest następu-jący: radio-pajęczarz płaci karę w wysokości 360 zł zaś tele-pajęczarz 480 zł o-czywiście niezależnie od za-ległych miesięcznych opłat, które jednorazowo wymie-rza poczta, biorąc za pod-stawę datę zakupu od-biornika.

Pajęczarze oporni, czy za-chowujący się w sposób or-dynarny w stosunku do kontrolerów, jak np. Broni-sława Trzcinka, zam. przy ul. Piekarskiej 9, czy Ka-rolina Gorzęda, zam. przy ul. Abramowskiego 27, kie-rowani są ponadto do kole-giów orzekających.

„Przez bufet...”

Specjalna ustawa mówi o doliczaniu co najmniej dzie-sięcioprocentowego „butelkowego” do każdego litra sprze-dawanej wódki.

Z tych właśnie dopłat Komitet do Walki z Alkoholizmem w Łodzi otrzymał w bieżącym roku niemal 2,5 miliona złotych na zwalczanie plagi pijactwa. Pieniądże te prze-znacza się na finansowanie korepetycji dla dzieci pijaków, na odzież i dożywianie młodzieży, której rodzice topią wszystkie dochody w „ognistej wodzie”, na pogadanki w szkołach zawodowych i dla pracujących itp. itp.

Gwoli jasności pragniemy wyjaśnić, iż mimo wszystko „dofinansowywanie” Komitetu Przeciwalkoholowego drogą „przez bufet” nie może być poczytane za czyn społeczny.

Łamanie konstytucji

Jak wykazały bad-a-nia nad czasem pracy licealisty — uczniowie klas starszych łamią permanentnie Konsty-tucję PRL. Konstytucja przewiduje 8-godzinny dzień pracy, a oni pra-cują 10-12 godzin na-dobrze nimo, że są mło-dzianami.

Pomysł kurzego farmera

P. Stanisław Słowiński urządził sobie w Łodzi, przy ul. Oiechowskiej 52 dużą farmę kurzą, ze sztucz-ną wylęgarnią. Inkubator jednak, jak wiadomo zuży-wa dość znaczne ilości pra-du, za który — rzecz jasna — trzeba płacić. Farmer wpadł więc na genialny po-mysł i zaangażował współ-nika, pod postacią Zakładu Zbytu Energii Elektrycznej, który, przez szereg miesię-cy dostarczał farmie bez-płatnie prąd. Przyszła je-dnak chwila, gdy współnik tj. ZZEE zorientował się, że jest po prostu okradany i wyciągnął w stosunku do pomyslowego farmera przy-kre konsekwencje. Oto o-ne: sprawę skierowano do prokuratora, ponadto P. Słowiński zapłacił za skra-dziony prąd 10.350 złotych.

Kolejki po... nauce

Mineły czasy kiedy trzeba było specjalnych akcji uświa-damających dla zapewnie-nia odpowiedniej ilości uc-zniów w szkołach dla pra-cujących. Obecnie trzeba ra-czej długo chodzić i szukać, by znaleźć miejsce w takiej szkole. Np. w liceach kore-spondencyjnych jest już sta-nowczo zbyt ciasno.

Gdy w roku szkolnym 1957/58 do szkół podstawo-wych dla pracujących w Ło-dzi uczęszczało 2.515 osób to w 1960 roku ilość uczniów wzrosła do 9.000.

W liceach tego typu w 1960 roku zanotowano co najmniej dziwną sytuację — rozpoczęło naukę 3.918 osób, a ukończyło o 10... więcej.

Zgłaszają się nieustannie nowi kandydaci na matury-stów i trzeba chyba pomy-sleć o kilku nowych szkołach, bo maluzeczko, a zaczyna się tworzyć kolejki po... nauce.

Dla ciekawych

Numer telefonu do-lu-by wytrząsien przy-ul-Dezysyng 1 podany jest w spisie telefonów z 1959 roku na stronie 18 pod: Komenda Ło-dy, ka Terenowej Obrony Przeciwlotniczej.

Moto-hobby

Nabijanie w... ogumienie

Od początku ubiegłego ro-ku „Warszawy” produk-o-wane są na ogumieniu wy-miaru 6.40X15. Kilka ty-sięcy tych samochodów sprzedano również do rąk prywatnych. I oto nabyw-ca takiego samochodu, któ-rego do „cna” wydręnowa-no” (a który z reguły nie zdążył jeszcze spłacić rat) z przerwaniem stwierdza, że zdarło się ogumienie — dalsza jazda jest niemożli-wa. Dlaczegoż z przerwaniem? Przecież nie prostsze go jak pójść do „Motozby-tu” i kupić. Otóż nie. Wła-sciiciel takiego wozu sta-le wobec alternatywy: sprze-dać wóz lub postawić go na sezon na „kolki”. „Moto-zbyt” bowiem nie sprzedaje w I półroczu obecnego ro-ku tego wymiaru ogumie-

Od-głosy „Prima Aprilis-su”

W związku z zabloko-waniem odpowiednich numerów telefonów spowodowanym przez naszych czytelników, którzy uwierzyli w wiadomość o „Wartbur-gu Coupe” wyjaśniamy, że była to prima-apri-lisowa kaczka, jedyna zresztą w poprzednich „Od-głosach tygodnia”. Przepraszamy. Dzięku-jemy za zaufanie.



Kto chce mistrzem zostać, musi uczyć się za młodu